Nr. 16 (1060). Warszawa, dnia 7 (20) Kwietnia 1901 r. Rok XXI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60. rocznie rb. 10.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 11 do 12 rano.
Rękopisów nie odsyła się. Autorówie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

BEZ NADZIEI.

Najnowszy telegram angielski przechwala się zwycięstwem nad Boerami. Odniósł je pułkownik Rawlinson około Klerksdorpu. Boerowie pod dowództwem Smutsa leżeli w nocy obozem. Nad ranem napadł na nich Anglik i rozpędził — zapewnę garstkę, nie dość czujną. Trofea w ludziach niewielkie: sześciu zabitych, dziewięciu ranionych, dwudziestu jeńców; ale straty w zasobach dla słabych dotkliwe: dwa działa, większe i mniejsze, dwa furgony z amunicyą, stado koni i bydła. Na innym punkcie inny pułkownik, Plumer, zabrał w niewolę feldkorneta i szesnastu żołnierzy, dziesięć wozów, osiemnaście karabinów, i znowu stado koni i bydła. Na początku wojny nie byłoby o czem wspominać; na końcu niepowodzenia takie są podwójnemi klęskami: pozbawiają środków i osłabiają ducha. Przyśpieszonym biegiem leciałoby wszystko w otchłań, gdyby się los nie miał do Boerów uśmiechnąć.

Przenoszą się oni podobno pomiędzy rzeki Olifant i Limpopo, w górzystą jakoby warownię, wyrastającą z płaszczyzny Zuitpanu. Szkoda, że zamiast wybiegać za rzekę Pomarańczową, gdzie tylko przestrach Anglików był jedyną korzyścią, a i tę jeszcze zrównoważa świadomość, iż na braci Przylądkowych nie ma co liczyć — szkoda, że już w lecie roku przeszłego nie pomyśleli o przeniesieniu walki na północ i zawczasu nie urządzili sobie widowni wojennej tak, aby każdy krok Anglika naprzód musiał być dla niego przedzieraniem się przez zasieki, pochodem pod strzałami nieprzyjacielskimi. Można to było uczynić z wielką dla samych siebie przewagą warunków walki. To, czemu głównie zawdzięczają swą wytrwałość bojową Boerowie — przestwór, dla nich byłby i nadal sprzymierzeńcem, dla Anglików gorszym niż przedtem wrogiem. Odległości są wielkie, a kraj jeszcze mniej znany, mniej dostępny, kolei żelaznych pozbawiony. Piechur nie dałby sobie tam rady już chyba wcale, a zaopatrzenie go w konie — na takiej przestrzeni byłoby gryzieniem kamieni.

Jeżeli zapowiedź się sprawdzi — a od niedowierzenia niezupełnie wolnym być można wobec wiadomości, że Schalk Burger, z rządem swoim trzymać się ma w Eremelo, mniej więcej na wschód od Johannesburga — walka potrwać może jeszcze do zimy; w przeciwnym razie liczyć ją potrzeba już tylko na tygodnie. Nie miałby orzeł swych lotów, gdyby miał skrzydła skowronka. Na takich skowrończych skrzydłach teraz wzbijać się usiłuje broniący swych ognisk, bytu swego, dziejowego życia Boer. Ta walka, dla polityków niezrozumiała, przez Anglików przyjmowana jako obłąkanie umysłowe, jako skutek choroby mózgów, dla filistrów wręcz śmieszna — jest takim wzlotem skowronka pod niebo w porankowej mgle żałości, która stanowi tylko formę przywiązania do ideału, narzucaną przez nieszczęście. Co jest w sercu, musi być i w rzeczywistości: stąd walka, nierozsądna, szalona, chorobliwa — ale rozumna i czysta, bo utrzymująca człowieka w jego indywidualności i z wiary w siebie czyniąca dla niej ster i wiosło.

Sprawa serca mogła być i przez pewien czas też była sprawą praktycznego rozsądku w rzeczach ogólnych, czyli rozumu politycznego. Zdawało się, że przedsiębiorstwo chińskie w lecie już doprowadzi sprzymierzeńców do starć ostrzejszych. Logika domagała się nawet takiego uderzenia piersi o pierś, z którego wykrzesać-by się już musiała wojna. Minęło lato, minęła jesień, nastała zima — i wiosna znów wabi i łudzi: a ze sporów niema nic, na czemby Boerowie oprzeć mogli nadzieję wycofania przez Anglię z Transwalu wojsk potrzebnych gdzieindziej. Wystarczało proste zagrożenie. Na jesieni stosunki w Chinach były takie, iż upomnienie się o Transwal, niedające się w zwykłym toku spraw dyplomatycznych przeprowadzić, nie było do wywołania skutku niezbędnem. Zasada rządząca polityką po wszystkie wieki i we wszystkich narodach: osłabiaj nieprzyjaciela, zapobiegaj jego sile, nacieraj gdy jest słabym lub najmniej do obrony zdolnym — zasada ta, gdyby zastosowaną była, bez krwi rozlewu, bez nowej wojny, przyniosłaby Boerom w skutkach, jeśli nie w formach, pożądaną interwencyę. Dziś już widoki są

małe, ale przedłużenie walki może na wszelki przypadek zgotować warunki — ocalenia jeśli nie międzynarodowej, to przynajmniej wewnętrznej udzielności. Dlatego i upór Boerów nie jest czystym nierozumem, przeciwnie jest momentem, który poważna nawet polityka, robiąca tylko interesa — złe lub dobre — na regestr swój wciągać może.

Tydzień polityczny. Uroczystości tulońskie odbyły się niezupełnie według programu ogłoszonego przez dzienniki. Flota rosyjska, po odpłynięciu z Tulonu jakoby ku Barcelonie, nadspodziewanie zwróciła się z drogi i zawitała do Villefranche, gdzie Loubet z Nizzy przybył na jej powitanie. Wzajemne objawy uczuć na zwykłem tle towarzyskiem przypadły na d. 10 b. m., kiedy właśnie prezydent miał w Tulonie witać flotę włoską pod wodzą księcia Genui, od 9-go znajdującą się już na stanowisku. W komentarzu słownym do obecności eskadry admirała Birylewa Loubet nazwał Francuzów w stosunku do Rosyi „narodem przyjacielskim, sprzymierzonym,“ a naród rosyjski — „przyjacielem i sprzymierzeńcem Francyi.“ Admirał Birylew wzniósł puhar „na pomyślność Francyi, drugiej swojej ojczyzny, i chwałę floty oraz armii francuskiej.“ Z księciem włoskim Tomaszem, stryjecznym stryjem króla, spotkał się Loubet dopiero d. 11 b. m. Gość rad był z tego, że przybył przed gospodarzem, miał bowiem czas zaprzyjaźnić się z flotą francuską: oczywiście, spóźnienie się Loubeta, chociaż w ostatniej chwili w porę jeszcze usprawiedliwione, nie było dowodem rwącej się do uścisków serdeczności. Toasty na morzu i na lądzie, u księcia, u prefekta i u mera, nie uderzają niczem. Loubet, jak kazał na siebie gościowi czekać, tak też odjechał go, wracając do Paryża: chciał zaznaczyć wielkość swego narodu wyższą nad włoską. Trzeźwość dzienników angielskich, niewidzących w tej manifestacyi międzypaństwowej żadnego zadatku ważniejszego na przyszłość, lepiej wyczuwa prawdę z rzeczywistości, niż zapalność *Secola* medyolańskiego, który w rozmowie z b. ministrem Karolem Dupuy widzi już zapowiedź polityki Loubeta, zmierzającej do ścisłego zespolenia obu państw w świecie łacińskim czy romańskim przodujących.

Agentury polityczne Europy w Chinach zapowiadają dalsze umykanie dworu chińskiego na południe: z Szen-si do Hu-pei, prowincyi w samem wnętrzu leżącej. Sprawa Mandżuryi ciągle jeszcze go pali. Zdanie Li-Hung-Czanga, że układ podpisać potrzeba, od 27 marca umilkło; przeważył chwilowo wpływ angielski. Niemcy wynaleźli znowu jakiegoś zamordowanego i jakiegoś mordercę. Waldersee ze swoją radą generałów postanowił zająć stale aż 9 punktów. Chaffee (Stany Zjednoczone) zadawala się dwoma. Anglicy i Francuzi zabierają się do odlotu; Niemcy jeszcze nie. Wynagrodzenie ciągle jeszcze utrzymuje ferment niezgody. Dzienniki angielskie oznaczają je na 60 mil. f. st. w ogólnej sumie; Amerykanie mówią tylko o 200 mil. dolarów — stosunek żądań jak 3 do 2. Niemcy dla samych siebie sięgają po ową dwójkę, wyobrażającą miliard franków — „Niemcy“ znaczą tu „dzienniki niemieckie,“ bo czego w tej chwili chce rząd, tego nie wie nikt.

W Afryce wojna przenosi się nareszcie tam, gdzie jej w lecie już wskazywano jedyną wdzięczną dla Boerów widownię, pomiędzy Oliphant i Limpopo na północo-wschód Transwalu. Nazwiska Bothy, Delareya, De-Wetta, ciągle jeszcze przebłyskują w telegramach, Bothy — z blaskiem nieosobliwym. Powtarzają się wieści o zamachu na Krugera, o nowych układach Kitchenera z Bothą. Schalk Burger jest wciąż naczelnym zarządcą politycznym na miejscu, a Leyds przedstawicielem dyplomatycznym w Europie.

Karawełow wstrzymał się od rozwiązania komitetu macedońskiego; nie wypuszcza tylko jego członków z więzienia. Stowarzyszenie, na którego czele stoi komitet, urządza kongres. W Sofii silny ruch patryotyczny. Turcya domaga się rozwiązania. Kiełzna na rumaka znaleźć się mogą tylko w Petersburgu i w Wiedniu, nie w Sofii.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY GALICYJSKIE.

Wspominając w poprzednim liście o sprawie gimnazyum cieszyńskiego, nie przypuszczałem, że kwestya ta stanie się niebawem osią całego życia politycznego Galicyi. Dziś gimnazyum cieszyńskie usunęło, rzec można, wszystkie wybitne objawy polityki krajowej na plan dalszy. Od Brodów i Kołomyi po zachodnie, leżące już na granicy Śląska, miasteczka galicyjskie, cały kraj rozbrzmiewa uchwałami wieców publicznych, zwołanych w sprawie upaństwowienia gimnazyum cieszyńskiego. Niema miasta, w którémby się już nie odbył lub nie był zamierzony wiec podobny. Ruch ten opanował z żywiołową siłą szerokie masy ludności. Drobnomieszczaństwo i robotnicy, inteligencya zawodowa i urzędnicy, działacze polityczni i kobiety — wszystkie te żywioły szczelnie wypełniają sale zgromadzeń i energicznie protestują przeciwko haniebnej polityce Koła polskiego. Rozpaczliwe miotanie się galicyjskiej prasy gadzinowej i półgadzinowej, która początkowo chciała cały ten ruch zbagatelizować, a obecnie oskarża go omal że nie o wysługiwanie się hakatyzmowi (tak!) — rozpaczliwe to miotanie się najlepiej świadczy, że ruch protestacyjny zwrócony jest we właściwym kierunku.

Bo też istotnie trudno o jaskrawszy dowód niedołęztwa, złej woli i nieuczciwości Koła polskiego, jak ta nieszczęśliwa sprawa gimnazyum cieszyńskiego.

Już sam sposób powstania tego gimnazyum jest policzkiem dla „reprezentacyi“ Galicyi w austryackiej Radzie państwa. Dwieście tysięcy ludności polskiej Ks. Cieszyńskiego nie otrzymuje od rządu ani jednego średniego zakładu naukowego, wówczas kiedy czterdziestotysięczna ludność niemiecka posiada ich aż 7, pomimo że ustawy zasadnicze państwa gwarantują każdemu narodowi zupełne równouprawnienie na polu szkolnictwa. Koło polskie ani palcem nie ruszyło, ażeby upomnieć się u rządu o przestrzeganie ustaw zasadniczych w stosunku do ludności polskiej na Śląsku. Po co chamom gimnazyum? Przecież na Śląsku niema ani jednego wysokourodzonego plantatora, pieczętującego się tym samym herbem, co Tarnowscy, Dzieduszyccy, Sapiehowie lub Potoccy... Śląsk — to kraj robotników i chłopów, którzy obchodzą obszarników galicyjskich w daleko mniejszym stopniu, niż dobytek rasowy.

Rozpoczęła się poniżająca i demoralizująca pod względem politycznym żebranina na gimnazyum cieszyńskie śród całej ludności polskiej. Inteligencya i chłopi, studenci i robotnicy zbierali i dawali składki, aż wreszcie nagromadziło ich się tyle, że można było pomyśleć o założeniu gimnazyum prywatnego. Panowie z Koła polskiego mieli przez cały czas zbierania składek zupełny spokój. Szerokie sfery społeczeństwa polskiego, zahypnotyzowane sprawą gromadzenia funduszów na gimnazyum prywatne, zupełnie zapomniały o tem, że dziesiąta część tej energii, jaką wyładowywano na zebraniach, potrafiłaby zmusić rząd do założenia gimnazyum *państwowego*, gdyby tę energię skierowano przeciwko Kołu polskiemu. Gdyby kilkanaście lat temu społeczeństwo polskie zdobyło się na taki wybuch opozycyi, jakiego dziś jesteśmy świadkami, Koło polskie musiałoby wywrzeć nacisk na rząd i zdobyć gimnazyum.

W r. 1895 stanęło nareszcie gimnazyum w Cieszynie ku wielkiej radości całego społeczeństwa polskiego. Skończył się prolog — rozpoczął się pierwszy akt bolesnej tragikomedyi. Ażeby udowodnić zbytecz-

---

O ZACHODZIE.

Wolnym krokiem idę z bazaru za miasto. W ręce trzymam kupiony przed chwilą melon, kieszeń wypycha mi torba z winogronami. Mostar jest jeszcze pełen ruchu i ożywienia, z tem większą przyjemnością znajdę się za jego murami...

Na chwilę przystaję, by rzucić wzrokiem na płynącą w kamiennem łożysku Narrentę. Ta Narrenta jest doprawdy śliczna i dziwić się trzeba, jak mało oceniają jej urok tutejsze „niedźwiedzie.“ Ogromnie lubię patrzeć na tę górską rzekę: w swojej dzikości ma coś podobnego do kobiety, która zarazem pragnie i odpycha.

Jestem na szosie. Później skręcam na drogę, umajoną z obu stron krzewami, drzewami figowemi, plantacyami tytuniu i całą masą winogradu. Z jakimś sentymentalizmem myślę, że taka flora, jaką tu postrzegam, może naprawdę rozmarzyć i mnie, synowi północy, zawrócić trochę w głowie. Oddycham głębiej — w powietrzu jest jednak parno.

A wszędzie, gdzie okiem rzucę — majestatyczne, groźne, przepiękne, olbrzymie góry skaliste, skamieniali rycerze śpiący, „straż cicha Hercegowiny.“ Ciągną się ich łańcuchy całe, pomarszczone, poszczerbione — te góry ożywia jakaś wielka dusza.

Siadam pod drzewem figowem. Nad głową mam bezdenny błękit nieba, na niem gorzeje ogromna kula słońca. Chyli się już zwolna ku zachodowi, po pewnym czasie zniknie zupełnie za horyzontem.

Z rozkoszą napawam się widokiem. Tam gdzieś daleko błyszczą kamienne łomy Mostaru, których białość w blasku słońca wydaje się jeszcze więcej oślepiającą. Tajemniczy rozgwar Narrenty ucichł już zupełnie, wokół wszędzie rozgościła się leniwa cisza. Oparłem głowę o drzewo i myślę... Jak tu inaczej, inaczej!

Potężnym, wzruszającym w swej nieopisanej krasie jest ten kraj. Przepych barw, światła, na każdym kroku najpiękniejsze krajobrazy... Jakiś wielki majestat bije od owych gór, pełnych zadumy groźnej i posępnej, zasłuchanych jakby w odgłosy wspomnień dziwnych. I jedno uderza w nich nadewszystko, bije od nich zewsząd ta melancholia, ta bezdenna melancholia, co nie zabijając fizycznie, pożera serca i dusze. Tak, pełnymi smutku niezmiernego są te olbrzymy, czarujące kształtami, przykuwające wzrok do siebie. A smutek to zda się nieukojony, wieczysty. I choć tam w dolinie życie wre i kipi, choć u podnóża ich wiją się przekorne rośliny — one jednak nie zwracają na to uwagi i sterczą jakby zdrętwiałe w swym bólu. Ten spokój, ta martwota przygnębiają i przejmują dreszczem. Są jednak i źródłem dziwnego upojenia: dusza korzy się przed tym smutkiem, wielbi posępność, grozę. Człowiek upaja się tą grozą jak asceta cierpieniem. I patrzy się, patrzy bez wytchnienia, by nasycić oczy majestatem, wchłonąć dzikie przygnębienie gór... Słońce ozłaca je i pieści — one zdają się nieczułe na jego pieszczoty.

Z westchnieniem rozmyślam nad tem. Z doliny przylatuje wiatr ciepły i owiewa mi skronie leniwie. Znać, że go nie zro-

ność gimnazyum polskiego w Cieszynie, hakata miejscowa ufundowała 20 stypendyów dla uczniów, Polaków, pierwszej klasy gimnazyum niemieckiego, pragnąc w ten sposób odciągnąć dzieci uboższych rodziców polskich od gimnazyum polskiego. Nic to jednak nie pomogło — i do pierwszej klasy nowego gimnazyum odrazu zapisało się 90 uczniów. Zapanowała powszechna radość: udowodniono rządowi, że gimnazyum polskie jest istotnie potrzebne, a więc rząd będzie musiał natychmiast przejąć je na koszt państwa. Pod tym względem nie mogło być żadnej wątpliwości. Przecież kierownikiem rządu był nie kto inny, jak Kazimierz hr. Badeni, a klucz od skarbu państwa trzymał inny „rodak,“ Biliński.

Tymczasem minął rok — i gimnazyum polskie nietylko nie zostało upaństwowione, ale nie otrzymało nawet prawa publiczności. Powstał wielki hałas. Całe społeczeństwo zawrzało oburzeniem i—prosta formalność — prawo publiczności nareszcie przyznano pierwszej klasie. Ta sama historya powtarzała się co rok; tylko pod naciskiem oburzenia całej ludności przyznano klasom następnym, w miarę otwierania, prawo publiczności. Tymczasem rząd nadawał prawo publiczności jednocześnie, a nawet znacznie później otwartym gimnazyom niemieckim i czeskim, chociaż niektóre z nich były zupełnie sztucznym owocem polityki germanizatorskiej. Tak np. założone w rok po cieszyńskiem gimnazyum niemieckie w Ostrawie Morawskiej, otrzymało prawo publiczności, pomimo że posiadało aż.. 16 uczniów.

Gimnazyum rozwijało się pod względem liczby uczniów znakomicie, ale fundusze „Macierzy szkolnej“ wyczerpywały się coraz bardziej i społeczeństwo ze smutkiem i oburzeniem widziało, że jeśli rząd nie upaństwowi gimnazyum, będzie ono po kilku tygodniach zamknięte z braku funduszów. Koło polskie zaniepokoiło się. Jego organy zaczęły głosić, że „wytęża“ ono wszystkie siły, ażeby „coś“ wymódz na rządzie. Nareszcie to „coś“ przybrało kształty konkretne — 8,000 złr. zapomogi rządowej rocznie. Organy Koła polskiego próbowały ustępstwo to wydać do rozmiarów niebywałej zdobyczy. Energia członków reprezentacyi galicyjskiej miała być—zdaniem tych organów — niesłychana. Myślałby kto, że tu chodzi nie o jakieś tam głupie gimnazyum dla chamów śląskich, ale co najmniej o zakaz dowozu świń z Rumunii

Niezadowolenie społeczeństwa z całej gospodarki Koła polskiego wzrastało tymczasem coraz bardziej— z przyczyn, o których pisałem w poprzednim liście. Ma się rozumieć, że haniebna sprawa gimnazyum cieszyńskiego — ten najjaskrawszy dowód szkodliwości dla kraju polityki Koła polskiego, wysuwana była coraz natarczywiej przez żywioły opozycyjne. Podczas ostatniej walki przedwyborczej nie było, można rzec, kandydata, któryby nie zaklinał się, że będzie walczył o sprawę gimnazyum cieszyńskiego z całem poświęceniem. Po wyborach, naturalnie, kandydaci stawszy się posłami, weszli do Koła polskiego i o żadnej „walce“ nie mogło być mowy.

Tymczasem zaniepokojenie losem gimnazyum cieszyńskiego stale wzrastało, bo z Cieszyna zaczęły nadchodzić wieści ponure. Co rok, wskutek otwierania jednej nowej klasy, gimnazyum musi pochłaniać zwiększoną sumę pieniędzy. W ten sposób szczupłe stosunkowo zasoby „Macierzy polskiej“ są bliskie wyczerpania i jeśli rząd nie pospieszy z upaństwowieniem, gimnazyum po dwóch latach upadnie, gdyż na zebranie kilkudziesięciu tysięcy reńskich drogą składek spotęgowanych, niema co rachować. Byłby to wprost niesłychany skandal, który napełniłby radością serca niemieckich i czeskich hakatystów na Śląsku, ale zgotowałby hańbę społeczeństwu polskiemu. Pomijam już sprawę zmarnowania kilkuset tysięcy reńskich, z takim trudem zebranych.

Kilku posłów demokratycznych (demokratycznych w znaczeniu galicyjskiem, oczywiście) zaczęło nalegać na kierowników Koła, ażeby zajęli się nareszcie sprawą gimnazyum cieszyńskiego. Większość, jak zwykle, zaznaczyła z patosem, że sprawa ta ogromnie jej leży na sercu i że zrobi, co może, byle demokraci nie zaostrzali sprawy zbytnio radykalnemi wystąpieniami. „Demokraci“ rozumie się nie chcieli psuć harmonii i „solidarności narodowej“ i nadal pozostali w Kole polskiem. Widząc, że oburzenie społeczeństwa galicyjskiego nietylko nie znika, ale potęguje się coraz bardziej, organy i przedstawiciele Koła polskiego zaczęli wmawiać w łatwowiernych, że dopóki gimnazyum nie będzie skompletowane, rząd *nie może* go upaństwowić. Ale prasa opozycyjna natychmiast odparła to całkiem świadome i bezwstydne kłamstwo, przytaczając spis 16 gimnazyów upaństwowionych przed skompletowaniem. Wówczas Koło polskie zaczęło dawać do zrozumienia za pomocą tajemniczych napomknień, że sprawa jest na najlepszej drodze.

Wybory do sejmu nie za górami, może być źle, trzeba więc pokazać, że się coś robi. Prowadzili więc targi z ministeryum, żebrząc nie o upaństwowienie (bo to dałoby się otrzymać tylko za pomocą zagrożenia opozycyi, czego Koło polskie nie może uczynić), ale o podwyższenie zapomogi rządowej o parę tysięcy. Rząd jednak ani myślał ustępować i godzić się na jakąś zupełnie nieznaczną sumę, którаby nic mogła zapobiedz katastrofie. Wobec tego Kołu polskiemu nie pozostawało nic innego, jak błagać opatrzność o zesłanie obstrukcyi czeskiej lub niemieckiej, którаby udaremniła obrady parlamentu i wybawiła posłów galicyjskich z kłopotu. Ale radykali czescy i niemieccy jakby na złość nie chcieli rozbijać pulpitów i głów lub koncertować na rondlach. „Koło polskie“ znalazło się więc między młotem a kowadłem. Wobec rządu nie może ono stawiać żadnych ostrych żądań, a wobec społeczeństwa musi udawać, że coś przecież robi dla gimnazyum cieszyńskiego.

Zwłaszcza trudnem jest położenie tych kilku niedołęgów, którzy w Kole polskiem kompromitują ideę demokratyczną. Przeciwko nim bowiem zwróciło się ostrze obecnego ruchu protestacyjnego. Na zgromadzeniach publicznych uchwalono postanowienie, domagające się od nich albo energicznego natarcia na rząd z powodu gimnazyum cieszyńskiego, albo wystąpienia z Koła polskiego. Pierwsze jest niemożliwe wbrew woli większości Koła, gdyż — jak czytelnicy *Prawdy* wiedzą z poprzedniego mego listu — „demokraci“ mają prawo w ostateczności tylko wyjść za drzwi; drugie dla większości z nich byłoby — zakończeniem karyery politycznej. Położenie — zwłaszcza ze względu na zbliżające się wybory do sejmu—bez wyjścia.

Tymczasem ruch protestacyjny wzmaga się. Na zgromadzeniach publicznych już uchwalono votum nieufności licznym posłom, wezwano ich do złożenia mandatów, z entuzyazmem uchwalono ubolewanie i nawet pogardę dla Koła polskiego. Nie jedna jakakolwiek partya polityczna, ale całe społeczeństwo galicyjskie, z wyjątkiem obszarników i klerykałów, zaznacza niedwuznacznie swe oburzenie.

Jednym z najwspanialszych objawów tego ruchu było olbrzymie zgromadzenie w samym Cieszynie, na którem ludność wypowiedziała się przeciwko Kołu polskiemu i jedynemu przedstawicielowi Cieszyńskiego w Kole, dr. Michejdzie. Zabierali tam głos nietylko Polacy, ale i przedstawiciele robotników niemieckich i czeskich, którzy oświadczyli się za upaństwowieniem gimnazyum cieszyńskiego w interesie ludu. Przemawiali tam posłowie: Daszyński, Cingr i Michejda. Ten ostatni otrzymał po swej mowie votum nieufności i wezwanie, ażeby wystąpił z Koła polskiego, albo złożył mandat. Imponujące było zgromadzenie w Krakowie, na któ-

---

dziły góry, że „nie przeleciał po nich sokolem.“ W przestworzu jasność jest niezmierna.

Lecz nagle coś zaszeleściało w pobliżu. Oho, nie jestem sam! Z pod sąsiedniego krzaka wysuwają się nogi w szerokich, tureckich szarawarach, a następnie ukazuje się głowa w fezie z twarzą zupełnie starą. Przez chwilę dwoje czarnych oczu, trochę jakby wyblakłych, spogląda na mnie dość groźnie, następnie groza zmienia się w zwyczajną ciekawość. Przyczyniają się do tego pewnie mój wygląd, no, i mina wcale nie zbójecka!

Heroicznie gotuję się do pogawędki, przepowiadając sobie w myśli wszystkie serbskie słowa, kiedykolwiek przez mózgownicę moją pochłonięte. Wiem, jak „tutejsi ludzie“ są skorzy do rozmowy... Trzeba spełnić kielich.

— Szwabo? — pyta mój sąsiad.

— Nie — trzęsę głową — „Poljak“!

— Co to jest Poljak?

— Taki Słowianin...

— Z daleka?

— Z dosyć daleka.

— Krewny Bośniaka?

— Krewny.

Jegomość w fezie wykrzywia usta pogardliwie, potem spluwa:

— Po co tu przyjechał?

— Tak sobie.

— Co to jest „tak sobie“?

— Tak sobie jest tak sobie — odpowiadam z niezachwianą pewnością.

Sięgam po melon, kraję go nożem i wyrzucam pulchny ośrodek. Po chwili milczenia słyszę głos:

— Szwabo je melon?

— Jem.

— Ja też lubię melony.

— Proszę — mówię i podaję spory kawałek.

Jegomość je, później wskazuje palcem moją torebkę.

— Winogrona?

— Winogrona.

— Ja też lubię winogrona...

Podaję torebkę. Ciekawy „facet“!

— Tytuń jest? — słyszę po chwili pytanie.

— Jest.

— Ja palę tytuń ..

— Domyślam się. Oto jest.

Jegomość skręca papierosa, zapala go i kładzie się na wznak.

Podziwiam znowu cudny krajobraz. Słońce, coraz większe, chyli się coraz niżej. Po bokach zaczynają opromieniać je złote blaski. Wszystko zdaje się przybierać żałosny wyraz pożegnania...

Teraz ja uznaję za stosowne zadać memu sąsiadowi parę pytań:

— Hercegowińczyk?

— Nie!

— Turek?

— Tak! — odpowiada z chełpliwością i jakąś butną pychą.

— Fiu! — myślę sobie. — Więc dlatego tak wydął wargi, gdy się dowiedział, żem „krewny Bośniaka.“ Musi być nygus pierwszej wody — wnioskuję w duchu, obejrzawszy dokładnie starego.

On leży spokojnie, kółka dymu puszcza i od czasu do czasu spluwa głośno wprost... w powietrze.

— Wszystko jest teraz nędzne — odzywa się nagle. — Szwabo mówi, że jest Poljakiem, krewnym Bośniaka. I po co szwabo tu przyjechał? Słońce świeci, zieleń rośnie, a góry, kamienie nasze niebotyczne

rem poseł Rotter, jedyny demokrata z Koła, którego demokratyzm można traktować na seryo, objawił chęć wystąpienia z Koła. Co prawda, uwarunkował on to postanowienie w ten sposób, że wcieli je w czyn chyba po skończonej sesyi parlamentarnej.

Jaki będzie wynik całej tej akcyi, na razie trudno przesądzać. O tem, że Koło polskie wstąpi na drogę opozycyi, mogą marzyć tylko bezdennie naiwni optymiści z prowincyonalnych miasteczek galicyjskich. Drugiem złudzeniem jest to, że rząd upaństwowi natychmiast gimnazyum cieszyńskie. Ale, pomimo wszystkiego, proces rozkładu potęgi Koła na całym tym ruchu tylko zyska, a wszystko, co przyczynia się do podkopania wpływów tej kliki, krzywdzącej kraj i okrywającej imię polskie hańbą przed obcymi, może być tylko pożyteczne i zbawienne. Ostateczne zdemaskowanie „domokratyzmu“ demokratów z Koła także będzie znacznym plusem w bilansie naszej polityki krajowej.

Daleki.

REFORMY WIOSENNE.

Berlin, 12 kwietnia.

Biedne Lieschen w podartych bucikach i z załatanymi łokciami otrzymały nareszcie stołki do siedzenia. Opowiem historyę tych stołków. Przed trzema czy czterema laty jakiś lekarz, studyując statystykę prowadzoną przez kasy dla chorych, zrobił ciekawe odkrycie, iż większość chorób, na które niedomagają sklepowe, jest w ścisłym związku z ich stojącym trybem życia. Fakt ten wnet ogłosił, a przodowniczki ruchu kobiecego postanowiły działać. Z ich inicyatywy profesorowie, posłowie sejmowi i różni przedstawiciele inteligencyi wystosowali odezwę do właścicieli sklepów, prosząc o sprawienie stołków pannom sklepowym. Do każdej odezwy załączono formularz na odpowiedź i na kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzy odezwy otrzymano tyleż, jak przystało na kupców, odpowiedzi lakonicznych lecz sympatycznych: „Owszem, z przyjemnością.“ Upłynęło pół roku, a stołków ani śladu. Przewodniczki ruchu kobiecego znowu ruszyły się i wystosowały odezwę, tym razem do kobiet, a raczej kupujących dam. Ponieważ w każdym czwartym wierszu figurowało wydrukowane grubemi czcionkami i zaopatrzone w trzy wykrzykniki zdanie: „Wszak to są wasze siostry!“ więc odezwa oddziałała w sposób piorunujący. Uchwalono, na wzór amerykańskich „Lig spożywców,“ kupować tylko w tych sklepach, które są zaopatrzone w stołki dla sklepowych, a co ważniejsza, natychmiast lynchować egoistycznych handlarzy. Zrobiono najazd. Na zapytanie przybyłej damy: „Czy ma pan stołki?“ — uprzejmy pryncypał odpowiadał, iż skład mobli znajduje się tuż naprzeciwko, ale że on może ofiarować po bajecznie nizkich cenach doskonałe tiule. Zrobiwszy przy tak szczęśliwej okazyi zakup, filantropka, gdy wsiadała już do powozu, obarczona stosem pakunków, apelowała do serca pryncypała, prosząc o sprawienie stołków, na co ten odpowiadał nadzwyczaj grzecznie: „Owszem, z przyjemnością.“

Upłynął rok, a stołków nie było. Sprawę wziął nareszcie w swe ręce sejm Rzeszy i przeprowadził odnośną ustawę. Tylko liberalni gorąco oponowali. Eugeniusz Richter wygłosił nawet mowę, którą zdaje się zakończył sarkastycznem zapytaniem, kiedy nareszcie państwo wyda przepisy, jakiego koloru krawaty mają nosić obywatele? Rada związkowa, zaprzątnięta wydobyciem niewiadomo skąd funduszów na nieśmiertelne czyny bawiącego w Chinach pruskiego Aleksandra Macedońskiego, zatwierdziła naprędce ustawę. Rozumie się ten lekkomyślny pośpiech Rady wywołał rozgoryczenie śród synów Merkurego. Nie dość, że człowiek na szyldzie umieszcza niewiadomo po co prawdziwe swe imię i nazwisko, to jeszcze dokuczają mu kaprysami filantropii społecznej. To też gdy policya w tydzień przed 1-ym kwietnia wydelegowała schutzmannów, aby w sposób delikatny zakomunikowali pryncypałom treść „prawa o siedzeniu,“ kupcy przywitali posłów kpinami. Jedni pytali o to, czy w przyszłości sklepowe mają rekrutować się wyłącznie ze sfer hrabiowskich, inni ciekawi byli dowiedzieć się, czem mają obić siedzenia: jedwabiem, czy pluszem; byli i tacy, którzy informowali się o to, czy odtąd sklepowe mają dostawać na podwieczorek ostrygi i szampańskie. Schutzmann, mąż od podeszwy do pikelhauby zachowawczy, przyznawał w głębi serca racyę tym żartom, bo cóż u licha wielki Waldersee zyska na tem, iż dziewczyny, które chorują na błednicę, suchoty, katary kiszek itd., będą rozpierały się na swych stołkach? Chował więc do kieszeni wszystkie koncepty i odchodził. Dnia 1 kwietnia ta lub owa dziewczyna odważyła się usiąść na brzeżku przeznaczonego dla siebie stołka. Kupiec oświadczał natychmiast, iż jest to chyba żart na *prima aprilis*, bo popierwsze prawo pozwala siedzieć tylko wtedy, kiedy sklepowa nie ma zajęcia, a wszak pracowita dziewczyna zawsze znajdzie w sklepie coś do roboty; w najgorszym razie — dodawał z ironią — niechaj czyści ten oto nowonabyty, kosztowny stołek a powtóre, gdy w sklepie brak zupełnie roboty, to sklepowe powinny krzątać się chociażby po to, aby wchodząca do sklepu publiczność odbierała wrażenie, iż ma do czynienia z kwitnącem przedsiębiorstwem. Przewodniczki ruchu kobiecego, którym już złożono ze wszystkiego raport, mają podobno zażądać w prasie od kupujących dam, aby nie obrażały się, jeśli sklepowe będą je obsługiwały siedząc, jak to praktykuje się już w kilku miastach amerykańskich. Czy eleganckie panie przystaną na ten import obyczajów zamorskich, przyszłość pokaże.

Wogóle niemieckie prawodawstwo społeczne, zwolniwszy nieco tempo na punkcie reform, obejmujących szerokie warstwy ludowe, zajęło się obecnie tem skwapliwiej losem grup społecznych, które można byłoby ochrzcić terminem „maluczkich,“ a więc kopciuszków, znoszących bez szemrania ową niedolę, przytem bezbronnych, bądź wskutek braku samopomocy społecznej, bądź ciemnoty. Mamy tu na myśli nietylko sklepowe, ale szwaczki, kelnerów i dzieci. Los nieszczęśliwych szwaczek, a raczej — że użyję tutejszego terminu — „konfekcyonez,“ spoczywa jeszcze w ręku dowódczyń ruchu społecznego. Zwróciły się one ostatnio z prośbą do tutejszych wielkich domów konfekcyjnych, aby uczyniły nareszcie zadość wymaganiom rządu i nauki, które orzekły konieczność utworzenia wielkich warsztatów zamiast dotychczasowego „systemu potowego,“ uciekającego się do pomocy „faktorów pasorzytniczych.“ Dotychczas argumenty „komisyi związków kobiecych“ wywołały skutek rzucania grochu o ścianę. Wskutek tego rząd i sejm Rzeszy mają wkrótce zająć się szczegółowiej położeniem szwaczek i „konfekcyonez.“ Dziś mamy tymczasem do notowania dwie inne reformy społeczne. Jedna zasługuje na uwagę jako pierwsza wielka próba zaopiekowania się losem kelnerów, druga zaś jako ustępstwo zrobione społecznej szkole prawnej, upatrującej w warunkach społecznych najpoważniejszą przyczynę szerzenia się przestępstw.

Ruch zmierzający do ulżenia niedoli kelnerów ma już dziś całą literaturę naukową i historyę. Od kilku lat roztrząsa tę kwestyę nietylko nauka i prasa, ale i rząd. Zwłaszcza istniejąca przy rządzie Rzeszy „Komisya dla statystyki robotniczej“ położyła pewne zasługi pod tym względem. Ona to wydobyła na jaw fakty z życia kelnerów, wołające o pomstę do nieba. Ona dowiodła, iż 50% tych nieboraków umiera na suchoty! Ona wykazała, jaki upadek moralny wywołują w tej sferze odnośne warunki pracy, a między innemi

---

kąpią się w blasku... A czy one kąpią się tak, jak kąpały się dawniej? Czy zieleń tak rośnie? Czy słońce tak świeci? Nie tak. Dawniej i „szwabo“ tu nie zaglądał i Bośniak i Hercegowińczyk byli naszymi psami. Lecz może młody szwabo lubi gadać, pójdzie i będzie rozpowiadał, co ja mówiłem? Miasto blizko... Niech idzie!

Uśmiecha się lekceważąco. Mówi to z ironią, jakby litując się bezdennie nade mną. Żuje niedopałek papierosa i pokazuje przytem resztę żółtych zębów. Mówi po serbsku: tu każdy Turek po serbsku mówić umie.

— I słońce inaczej zachodzi — ciągnie leniwie. — Czy szwabo może mieć o tem pojęcie? Tak dawniej nigdy nie zachodziło. Wszystko nędzne!

Wzruszam ramionami. Słońce zachodzi wspaniale, prześlicznie mieniąc góry i dolinę. Domy Mostaru nabierają koloru złotego i coraz więcej stają się złociste. Całe powietrze jest jakby nasycone złotem, pomieszanem z lekką czerwienią. Krajobraz uderza pięknością.

— Nam czas, mówią, wynosić się dalej... Gdzie wynosić się ze *swojej* ziemi? Czy ta ziemia nie jest nasza, turecka? Czy szwabo wie co o tem?

— Wiem.

— I cóż wie?

— To jest *ich* ziemia!

— Austryaków? — pyta i podnosi się lekko z trawy.

— Bośniaków i Hercegowińczyków! — odpowiadam z mocą.

Stary Turek mruży oczy. Potem patrzy na mnie ze zdziwieniem. To mu nie przyszło, zdaje się, nigdy do głowy. Lecz kończy szyderskim uśmiechem.

Wstaje. Oczy utkwił w płonącą wielką kulę, która opuszcza się szybko coraz niżej i za chwilę może już zniknie zupełnie. Na jego twarzy, tak jak na wszystkiem teraz, legł odblask złoto-czerwonawego światła, zabarwiając ją charakterystycznie.

Stoi. W oczach poczynają mu igrać błyski, mięśnie na policzkach drgają:

— Kiedyś... było lepiej... Jest ziemia, ogromna, wielka ziemia, tam dalej... Tam jest też wielkie słońce — padyszach. O tem, co zachodzi tutaj, mówią, że jutro wstanie znów piękne, młode i świeże i tak codzień... Ale my wiemy, że to kłamstwo podłe. To nasze już zaszło. I może drugie słońce, padyszach, sprawi, że to będzie znów naszem. Co ty jednak, młody szwabo, wiesz? Wy wszyscy jesteście...

I nie kończy, jakby w obawie, że naprawdę powie za dużo.

Lecz mnie porywa urok tego zachodu. Wstaję i patrzę z rozkoszą na czarującą i niezrównaną w swym przepychu grę barw, grę światła. Jest to jedna olbrzymia symfonia zawrotnego wdzięku i krasy. Jak gdyby na ostatnie pożegnanie słońce uśmiecha się całą pełnią i, zda się, woła: bywaj! W duszy mej widzę dziwny obraz: kochanek, opuszczający kochankę, śle jej dłonią pocałunek i pocałunek ten biegnie przez przestrzeń, by upaść na jej koralowe wargi i wywołać w niej burzę. On, choć odchodzi, ma uśmiech szczęścia na twarzy, bo jutro ją ujrzy znowu. To słońce tak samo żegna ziemię...

— Tu jest pięknie! — mówię z zapałem.

— Było... — mruczy starzec.

J. Augustynowicz.

upadlający zwyczaj napiwka, który jest lwią częścią ich dochodów.

Nowe prawo reguluje w sposób następujący warunki pracy. Każdy pracownik restauracyjny musi być zwolniony od zajęcia na 8 godzin dla wypoczynku, co trzy tygodnie zaś dodatkowo na cały dzień. W nocy nie wolno zatrudniać chłopców niemających lat 16. Wreszcie dziewczyny poniżej lat 18 nie mogą sprawować obowiązków walkiryj restauracyjnych. Oto trzy zasadnicze punkty reformy, która jest raczej pierwszym krokiem i zapowiedzią, niż ostatecznem starciem piętna hańby, ciążącego na społeczeństwach europejskich.

Drugie ze wspomnianych praw dotyczy dzieci, którym grozi zboczenie na manowce zbrodniczości. Prawodawstwo dotychczasowe nakazywało „wychowanie przymusowe" dla dzieci w wieku od lat 6 do 12, o ile dopuściły się przestępstwa; innemi słowy — dzieci „moralnie zaniedbane" szły do domu poprawy. Prawodawcy przypuszczali, iż oddając małoletnich przestępców pod ścisły nadzór, zatamuje tem samem rozlew fali zbrodniczej wśród dzieci. Aliści rzeczywistość zadała w najokropniejszy sposób kłam tym dążeniom, albowiem odsetka dzieci-zbrodniarzy w Niemczech, podobnie jak w całej Europie, nietylko nie zmalała, ale przeciwnie podniosła się o 5%. Oddawna już łamano sobie głowę, jak znaleźć wyjście z tego okropnego położenia, grożącego społeczeństwu wprost gangreną moralną. Żaden z chmary zaproponowanych projektów nie przemówił do serca instytucyj prawodawczych i dopiero wywody nowej szkoły prawnej, zwanej społeczną lub realistyczną, nasunęły myśl, iż w istocie najsłuszniejszą zasadą jest *principus obsta*. Kuratelę należy rozciągnąć nie nad dzieckiem już splamionem moralnie, lecz o ile nie dokonywa się gruntownych reform społecznych, oczyszczających najskuteczniej atmosferę moralną, należy roztoczyć opiekę nad każdem dzieckiem, któremu rodzice nie mogą dać odpowiedniego wychowania. Każdy niepełnoletni obywatel, młodszy od lat 18, podlega prawu o t. zw. „opiekuńczem wychowaniu." Jeśli rodzice dla jakichkolwiek powodów, np. wskutek obciążenia przekleństwem nędzy, zaniedbują wychowanie swego małego lub podrastającego dziecka, wtedy społeczeństwo poczuwa się wprost do obowiązku zastąpienia ich, pomimo iż ani rodzice, ani młody obywatel nie popełnili żadnego przestępstwa. Jaki rezultat wyda nowa próba społeczna, trudno przepowiedzieć. Zdaje się jednak, iż prawnicy zupełnie nie przesadzają, nadając jej znaczenie przewrotowe. Przy tej sposobności chciałbym tu wspomnieć o sympatycznej instytucyi, która ujrzy wkrótce światło dzienne w Hamburgu. Powszechnie uderzył w Niemczech fakt, iż na urządzanych tu kursach „University extension" lud świecił swą nieobecnością. Wytłomaczono to zupełnym brakiem zaufania ludu do przewodników społeczeństwa. Nowa instytucya ma na celu zbliżenie obydwu. Szereg przedstawicieli inteligencyi osiedla się w kwartałach robotniczych Hamburga, gdzie urządzi koncerty i odczyty ludowe, wieczory wintowe i szachowe, otworzy czytelnie, założy teatr, biuro doradcze itp. Przypomina to nieco słynną „Toynbee-Hall" w Londynie i związany z nią tak zwany ruch uniwersytecki.

H. F.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Pożądany kandydat.

Od nowego roku szkolnego ma być otwarta w uniwersytecie lwowskim druga katedra historyi literatury polskiej. Podobno przedstawiono na nią trzech kandydatów, a między nimi Piotra Chmielowskiego. Rzecz naturalna, ani zasługami, ani wiedzą dwaj inni mierzyć się z nim nie mogą, mogą przewyższać go tylko zdrowiem. Czy on sam zechciałby podjąć brzemię tych obowiązków siłami osłabionemi w trzydziestoletniej, tytanicznej pracy — nie wiemy, ale to wiemy, że nigdy człowiek nie był bardziej stworzony na profesora, niż Chmielowski. Zdumiewająca wiedza, nadzwyczajna równowaga umysłu, ścisłość krytyczna, jasność wykładu, zdolności i upodobania pedagogiczne i — co także podkreślić należy — niezłomność czystego charakteru — wszystkie te przymioty czyniły go nieoszacowanym przewodnikiem młodzieży w wyższych studyach.

Obecnie Chmielowski przebywa na południu Europy, gdzie leczy się z następstw niedawnej choroby. Miejmy nadzieję, że ta kuracya wróci mu tyle sił, ileby potrzebował, gdyby go Lwów powołał do swego uniwersytetu. Ale czy w tem przypuszczeniu nie grzeszymy optymistyczną wiarą, że takie nagrody dostają się zapaśnikom, którzy idą do celu z funtem rozumu a nie z łutem szczęścia? Niestety, tak bywa — i to najczęściej, a Galicya nie stanowi bynajmniej wyjątku pod tym względem.

Własne belki i cudze źdźbła

W jednej kolumnie: *konflikty, stypulacye, rewelacye, sistowania, atrakcye, expose, dementi* itp. aż się roją, a w drugiej obok hukliwe gromy lub bolesne jęki na zachwaszczanie języka cudzoziemczyzną w dziennikarstwie—oto zwykły widok w naszych pismach, dbałych o czystość mowy polskiej. Każdy karci sąsiadów za nieporządek w ich domach, a kupy śmieci we własnym nie widzi. Jeżeli owa dbałość nie ma być czczym frazesem, lecz płynie istotnie z poczucia potrzeby i obowiązku, niech przestanie być rachunkiem grzechów cudzych i zamieni się na poprawę ze swoich. Wtedy język nasz pozbędzie się tej kosmopolitycznej gwary, którą dziennikarze rozmawiają między sobą, bo czytelnicy zwykle jej nie rozumieją. Może to zmniejszy głębię mądrości, gdy zamiast *konflikt* napiszą starcie, zamiast *dementi* — zaprzeczenie, zamiast *rewelacya* — odkrycie, ale ta mądrość, tamowana dziś „porogami" cudzoziemczyzny, rozpłynie się szerzej, a nadewszystko zatopi śmiesznie dwoistą miarę, bardzo rozciągliwą dla poprawiaczów i bardzo skurczoną dla poprawianych. Usuńmy własne belki, a przestaną nas razić cudze źdźbła.

Wytrwali.

Różnym warstwom społeczeństwa naszego zarzucano niejednokrotnie brak energii we wszelkich dziedzinach życia. Dość jednak uważnie i stale spoglądać w to życie, ażeby się przekonać, że energia istnieje w głębi. Jest ona niekiedy podobną do geiserów islandzkich: wydobywa się na powierzchnię wrzącym, złośliwym potokiem i parzy tych, którzy się zbliżają do niej. Takim potokiem, bijącym od kilku miesięcy ze źródeł naszych rzemieślników, jest protest garstki niezadowolonych. Drzemiącą energię wydobyła prywatna ambicya kilku jednostek, które sztucznie podtrzymują niezadowolenie i podrażnienie śród niespełna 300 osób. Zdawało się, że po naprawieniu rozbitych szańców sekcyi rzemieślniczej, po usunięciu min, podłożonych pod główną twierdzę — Towarzystwo przemysłu i handlu, wreszcie po odparciu ataku luzaków, przybyłych na zebranie ogólne — zaniechają już walki. Tymczasem w ubiegłym tygodniu znowu znaleźli sposobność do rozpoczęcia partyzantki. Skutkiem jakiegoś nieporozumienia czysto kancelaryjnego, niezadowoleni, którzy sami manifestacyjnie wykreślili się z sekcyi rzemieślniczej, otrzymali zaproszenie na obrady sekcyjne, a jeden z ich przedstawicieli natychmiast zaznaczył swoją obecność, chcąc wywołać zamęt i zmienić porządek dzienny dlatego tylko, żeby wypowiedzieć swoje żale i wywlec na jaw nieciekawe i niepożądane dla nikogo sprawy prywatne. Przewodniczący, p. Michalski, powstrzymał te zapędy; ale wrzący potok ambicyj i pobudek prywatnych wyżłobił sobie koryto w *Gazecie warszawskiej* i stamtąd pryska pianą na sekcyę rzemieślniczą. W tych zatargach jest rzeczą dziwną i znamienną, że grupa pracowitych ludzi tak długo pozostaje pod wpływem zagniewanych rzeczników, którzy usiłują ich kosztem załatwiać swoje rachunki prywatne i tym sposobem powstrzymają ich od zapisania się do sekcyi, gdzie mogliby pracować pożytecznie dla dobra ogólnego.

W sekcyi rolnej.

Do najżywotniejszych i najruchliwszych należy sekcya rolna. Na każdem posiedzeniu miesięcznem porusza ona mnóstwo spraw doniosłych dla całego kraju i jakkolwiek jest to instytucya teoretyczna, załatwiła już bardzo wiele spraw praktycznych, zwłaszcza organizacyjnych i rozpoznawczych. Zadania swoje powierza ona delegacyom, które wyłącznie pracują nad daną sprawą. Na posiedzeniu kwietniowem w ubiegły poniedziałek dowiedzieliśmy się o dotychczasowej działalności delegacyi gleboznawczej. Świadczy ona o pracy poważnej, o usiłowaniach poznania tajemnic gleby, dotąd bardzo mało zbadanej w kraju naszym. W tej sprawie jest tylko jeden rys znamienny: delegacya uskarża się na brak środków materyalnych, które nie pozwalają na wyszukanie i zaproszenie do prac geologa. Wszakże śród ziemian naszych są ludzie zamożni, którzy mogliby te trudności usunąć szybko. Badaniem gleby zajmują się także stacye doświadczalne, których coraz więcej przybywa w kraju. Do najmłodszych należy stacya kutnowska, obsługująca pięć powiatów. Powstała ona z inicyatywy kilku ziemian. Każdy rolnik na przestrzeni pięciu powiatów może z jej usług korzystać, jeżeli będzie wnosił rocznie 25 rb.

Ogłoszenia lekarzy.

Na jednem z ostatnich posiedzeń łódzkiego Towarzystwa lekarskiego roztrząsano regulamin, dotyczący ogłoszeń lekarskich w prasie peryodycznej. Projekt uległ niewielkim zmianom i ogół zgromadzonych lekarzy postanowił wprowadzić go w życie. Uwzględnił on cztery punkty: 1) treść ogłoszenia, 2) jego formę, 3) miejsce i 4) częstość. Co do treści: ogłoszenie może zawierać: 1) nazwisko ogłaszającego się z dodaniem dr. lub dr. med.; 2) specyalność; 3) godziny przyjęć; 4) wyrazy: wyjechał, powrócił, przeprowadził się. Ogłoszenie nie powinno zawierać wzmianki o 1) ordynatorach, asystentach, studyach w klinikach, stopniach naukowych zagranicznych itd.; 2) o miejscu i celu, w jakim lekarz wyjechał, skąd powrócił, np. „wyjechał za granicę na studya" itd.; 3) o metodzie leczenia w rodzaju elektry-

czności, masażu, hypnotyzmu itd. Co do formy: Ogłoszenie powinno być drukowane niezbyt dużemi literami, bez ramek, rączek, wykrzykników itp. Ogłoszenie nie powinno zajmować dużo miejsca! Co do miejsca: Nie powinno się mieścić na pierwszej stronicy gazet i wogóle przed tekstem. Co do częstości: 1) Nowoprzybyli lekarze mogą ogłaszać się w ciągu 3 miesięcy bez ograniczenia liczby ogłoszeń; 2) innym zaś lekarzom wolno ogłaszać się tylko dwa razy na tydzień; 3) ogłoszenia o wyjeździe, powrocie lub zmianie mieszkania mogą być zamieszczane 5 razy w dowolnych odstępach czasu. Uwaga I. Ogłoszenia o lecznicach, domach zdrowia itp. podlegają ogólnym przepisom z zastrzeżeniem, aby w ogłoszeniu nie były wymienione adresy lekarzy. Uwaga II. Reklamowanie własnych książek, broszur, środków wynalezionych itd. nie jest dozwolone. Sekretarz Towarzystwa lekarskiego informuje nowoprzybyłych lekarzy o przepisach, dotyczących ogłoszeń. Wyłamujący się z pod niniejszego regulaminu narażają się na zakłócenie towarzyskiego stosunku do ogółu lekarzy.

BADANIA NAUKOWE.

TAJEMNICZE PROMIENIE.

Odkrycie promieni Roentgena pobudziło niezmiernie umysły nietylko poważnych uczonych ale szerokiego ogółu i dało impuls do nowych poszukiwań w tym kierunku. Okazało się niebawem, że istnieją substancye, zdolne wysyłać promienie jeszcze dziwniejszej natury, aniżeli promienie Roentgena—gdyż nie wymagające wydatkowania żadnej ze znanych postaci energii i przeczące, przynajmniej na razie, wielkiemu prawu zachowania energii w przyrodzie.

O tych dziwnych zjawiskach, wobec których bezradnie stoi dziś teorya, pomówić chcemy słów parę.

Ben Akiba powiedział niegdyś, że „wszystko to już było“, tak też mają się rzeczy w interesującym nas wypadku, bo jeszcze przed 40 laty Niepce, sławny założyciel fotografii, zaobserwował zjawiska, zupełnie podobne, chociaż nie potrafiono i wówczas zbadać ich natury. Zauważył on mianowicie, że papier, nasycony azotanem uranu, pewnego rzadkiego metalu, działa tak jak światło na sole srebra, to znaczy czerni papier niemi powleczony. Odkrycie to wywołało wielką sensacyę; starano się wytłomaczyć dziwne zjawisko przypuszczeniem, że kryształki azotanu uranu mają własność chłonienia i nagromadzania promieni słonecznych i wypromieniowywania ich w następstwie.

Jak to się często dzieje nawet w nauce, zapomniano w końcu o tajemniczym fakcie; dopiero odkrycie promieni Roentgena wyprowadziło go znowu na porządek dzienny.

Równocześnie prawie z pojawieniem się prac Roentgena, wziął się do badań nad niewidzialnymi promieniami uczony francuski, dr. Le-Bon. Dowodził on, za pośrednictwem doświadczeń, że wszelkie znane źródła światła, nie wyłączając lampy naftowej, wysyłają niedostrzegalne dla wzroku ludzkiego promienie, zdolne przenikać blachy żelazne, miedziane, aluminiowe itd. ale nie przechodzące przez ebonit, papier czarny... Promienie owe, nazwane paradoksalnie przez Le Bona *czarnem światłem*, mają się różnić tem od roentgenowskich, że nie słabną wcale, przechodząc przez ciała dla nich przezroczyste.

Inni badacze, a mianowicie dr. Armaignac z Bordeaux i H. Murat z Hawru przedstawili za pośrednictwem d'Arsonvala Akademii nauk w Paryżu doskonałe fotografie szkieletów ryb, otrzymane przy użyciu *światła czarnego* (w 1896 r.). Doświadczenia Le Bona podlegały kontroli i krytyce, ale nikomu, o ile nam wiadomo, nie udało się stanowczo wykazać, że światło czarne jest złudzeniem. J. Russel dowiódł dalej, że sole uranu działają na kliszę nawet wtedy, jeśli je umieścić w oprawkach szklanych i trzymać przez długi czas w ciemnościach; potwierdził też fakty, obserwowane przez Le Bona i Colsona, odnoszące się do cynku. Metal ten, w stanie polerowanym, po upływie 4—5 godzin wywołuje wyraźny obraz na płycie fotograficznej, tak iż znać nawet rysy i pęknięcia na płycie. Fotograficzne działanie wykazują także inne metale, zwłaszcza rtęć. Przekonano się, że ta własność metalów pozwala je postawić w tym samym mniej więcej porządku, w jakim następują one po sobie w szeregu galwanicznym Volty. Kładąc pomiędzy kliszę a metal warstwę obojętnej substancyi, spostrzegamy, że zmienia ona siłę działania czarnego światła na warstwę czułą.

Tak np. szkło, parafina, guma arabska, są zupełnie nieprzenikalne, cienkie zaś warstwy gutaperki, celuloidu i papieru nie osłabiają niewidzialnych promieni w znacznym stopniu.

Co ciekawsze, nietylko mineralne, ale nawet organiczne substancye zachowują się podobnie. Najsilniej działa na kliszę fotograficzną kopal, słabiej żywica zwana damarą i balsam kanadyjski; nawet drzewo rozmaitych gatunków, słoma tektura z tejże i węgiel wykazują aktyniczną działalność, przyczem na kliszy staje się widoczny ich zarys i budowa wewnętrzna.

Fakty analogiczne mnożyły się; w 1896 roku Becquerel, znakomity uczony francuski, zrobił odkrycie, że uran metaliczny wysyła promienie niewidzialne dla oka ludzkiego i mające wiele wspólnego z promieniami Roentgena. Promienie te przenikają bowiem metale, ciało ludzkie, drzewo, działają na kliszę fotograficzną, a nadto załamują się i odbijają, czego nie stwierdzono odnośnie do promieni X. Ważnym jest tutaj fakt, że promienienie Becquerela ułatwia rozpraszanie się elektryczności z naładowanych nią ciał, jak gdyby pod ich wpływem powietrze stawało się dobrym przewodnikiem. Także zjawisko indukcyi elektrycznej w obecności uranu ulega osłabieniu.

Becquerel posiada szkatułkę ołowianą, napełnioną uranem i szczelnie zamkniętą od trzech lat, a więc niedostępną dla światła, a pomimo to wysyłającą bez przerwy, z jednakiem wciąż natężeniem tajemnicze promienie. Skąd więc bierze się ten niewyczerpany zapas energii? Jaką jest jej natura?

Ale na tem nie koniec; niebawem odkryto ciała, obdarzone w nieporównanie silniejszym stopniu własnością uranu. Zasługa należy się tutaj Polce, pani Curie, z domu Skłodowskiej.

Pp. Curie, badając promienie Becquerela, przekonali się, że źródłem ich są także pewne uranowe minerały, mianowicie pechblenda i chalkolit; oddzieliwszy przymieszki, towarzyszące uranowi w owych minerałach, otrzymali oni substancye wysyłające bardzo obfite promienie o zaznaczonych własnościach; w końcu doszli do przekonania, że zawierają one nowy pierwiastek, który otrzymał nazwę polonium.

Równocześnie z panią Curie niemiecki uczony, Schmidt, zwrócił uwagę na aktyniczne własności związków torowych, używanych do fabrykacyi żarowych koszulek Auera i nazwał zawarty w nich pierwiastek (radium) radem. Oba wymienione pierwiastki wysyłają promienie widzialne dobrze w ciemności. Błyszczą one zielonawem światłem na podobieństwo robaczka świętojańskiego i wyładowują w oka mgnieniu, nawet na stosunkowo znaczną odległość, naelektryzowane przedmioty. Niedawno odkryto czwarty pierwiastek, aktinium, obdarzony takiemiż własnościami i dowiedziono, że tajemnicze promienie Becquerela działają także na zwierzęta i rośliny. Radium pobudza swem promieniowaniem skórę aż do zapalenia. Giesel z Braunschweigu powiada, że po upływie dwóch godzin naskórek oddziela się od ciała, a liście roślin tracą zieloną barwę, brunatnieją, a w końcu obumierają, nawet papier rudzieje i staje się kruchym. To samo dotyczy polonu.

Powiedzieliśmy, że promienie, o których mowa, zaprzeczają, pozornie przynajmniej, zasadzie niezniszczalności energii. Nie wątpimy, że sprawa wyjaśni się prędzej czy później; bądź co bądź jednak konsekwencye, wypływające z istnienia tajemniczych promieni, byłyby zdumiewające. Przedewszystkiem cała nasza dzisiejsza elektrotechnika byłaby zagrożoną; gdyby naprzykład jakiś figlarz tylko położył gdzieś na centralnej stacyi woreczek napełniony radem, czy polonem, maszyny dynamo przestałyby działać, bo prąd nie płynąłby po drutach, skoro powietrze stałoby się dobrym przewodnikiem; dla tejże przyczyny nie chciałyby się palić lampy elektryczne, ani nie poruszałyby się motory itd.

Z drugiej zaś strony tajemnicze promienie ułatwiłyby nam telegrafowanie bez drutu, wprost przez powietrze.

Niedawno robiono z nimi doświadczenia w fotochemicznym oddziale laboratoryjnym przy wyższej szkole technicznej w Berlinie. Doświadczenia te pozwalają przypuszczać, że promienie Becquerela elektryzują odjemnie przedmioty; jeżeliby tak było, to możnaby za ich pośrednictwem wytwarzać stałe prądy elektryczne, tak jak maszyną dynamo, lub też, odwrotnie, wprawiać w bezustanny ruch motory elektryczne! Perpetuum mobile w nowej postaci!

Jakie jest źródło tych rażących konsekwencyj, gdzie tkwi błąd?

Pragnąc wytłomaczyć, dlaczego polon, rad itd. mogą promieniować energię w nieograniczonych ilościach bez dopływu jej z zewnątrz, postawiono dwie główne hipotezy. Pp. Curie wypowiadają przypuszczenie, że w przestrzeni rozchodzą się bezustannie promienie, podobne do roentgenowskich, a wytwarzane prawdopodobnie dzięki energii słonecznej; promienie te są absorbowane przez metale o wysokim ciężarze atomowym i przeobrażane na promienie Becquerelà, zdolne działać na płytę fotograficzną i czynić gazy dobrymi przewodnikami.

Druga hipoteza pochodzi od angielskiego fizyka, W. Crookesa. W każde ciało, znajdujące się w ośrodku gazowym, ewentualnie w powietrzu, uderzają molekuły gazowe z rozmaitą szybkością poruszające się w przestrzeni. Może więc ciała promieniujące mają własność przyswajania sobie części energii cząstek, których szybkość przekracza pewną granicę i przeobrażania jej w promienie Becquerela.

Dwaj uczeni niemieccy, pp. Elster i Geitel, przedsięwzięli sprawdzenie obu hipotez. Zbadali przedewszystkiem zachowanie się uranu w próżni barometrycznej. Okazało się, że siarczan uranu działa na płytę fotograficzną nawet w pozbawionej powietrza przestrzeni tak silnie, jak w zwykłych warunkach; promienie Becquerela powstają także w rozrzedzonych gazach i czynią je dobrymi przewodnikami, tak jak zgęszczone. Wyniki te nie przemawiają wcale za trafnością hipotezy Crookesa.

Hypotezę p. Curie sprawdzono w następujący sposób:

Pp. Curie utrzymują, że przestrzeń wypełniają nieznane promienie, przenikające łatwo blachy, drzewo, ściany itd. Jednakże owe promienie powinny tracić na sile, przechodząc przez warstwę skały grubą na kilkaset metrów. Tymczasem pp. Elster i Geitel spuścili się w kopalnię Klausthal (Harz) na 300 metrów pod powierzchnię i dowiedli, że w tej nawet głębokości uranowe minerały rozpraszają elektryczne ładunki a działają na płytę fotograficzną w głębokości 850 m. i to równie silnie, jak na powierzchni. Hipoteza p. Curie wobec tego nie da się chyba obronić; ma ona zresztą tę wadę, że objaśnia X przez Y.

Od paru lat więc świat uczony stoi wobec intrygującej zagadki, którą daremnie usiłowało rozwiązać tylu badaczy. Kiedy dowiemy się czegoś pewnego o naturze tajemniczych promieni, tego dziś przewidzieć niepodobna. Otwarły się atoli nowe a szerokie horyzonty dla dociekań w tej dziedzinie fizyki, którą do niedawna uważano za względnie dobrze opracowaną.

O promieniach Becquerela nieraz jeszcze zdarzy się nam słyszeć.

W. U.

ETNOGRAFIA.

Wisła, miesięcznik poświęcony krajoznawstwu i ludoznawstwu. Z rysunkami. Tom XV, zesz. I. Styczeń—Luty 1901. Warszawa.

Ludoznawstwo, będące nader ważną dziedziną historyi i lingwistyki, nie doznaje u nas należytego poparcia. Prasa, nie spełniając należycie ciążącej nań powinności zaszczepiania w czytelnikach zamiłowania lektury poważnej, nie odpowiada wyjątkowemu u nas stanowisku, które powinno być obywatelskiem. U nas może bardziej, aniżeli gdzieindziej, potrzeba pracy i nauki. Czynniki te stanowić mogą nietylko naszą wartość i potęgę, ale, co ważniejsza, podstawę bytu.

Poświęcamy w pismach naszych niemało miejsca referatom z poezyi, dramaturgii, powieści itp., wydajemy organy poświęcone specyalnie sztukom pięknym i literaturze nadobnej, popularyzujemy w tanich wydawnictwach naszych *wielkich* powieściopisarzy, naprzykrzamy się publiczności ich podobiznami, życiorysami, ceniąc każde ich czcze słowo na wagę złota. Słowem, bawimy się, jak za dobrych czasów. Starożytne historyków zdanie, które stało się przysłowiem: „Slavus saltans," nie straciło jeszcze swej wartości.

Lud, owa podstawa narodu, zachował nam w mowie, zwyczajach i obyczajach cenne zabytki przeszłości. Zadaniem *Wisły* jest właśnie ocalenie od zagłady tego, co, świadcząc o naszym charakterze słowiańskim, stanowi krynicę istotnej rodzimości, owego daru przyrody, którego pogarda zasługuje na piętno samobójstwa. Cywilizacya zaciera znikające z widnokręgu typy. Nie mamy już owych wędrownych *rybałtów*, ale tułają się jeszcze *skulscy*, „*ochweśnicy*." Są to wędrujący kramarze obrazów, paciorków itp., pochodzący z osady Skulsk, przy granicy pruskiej, tam, gdzie się gubernia Kaliska z Warszawską styka. Otóż p. Stanisławowi Górce zawdzięczamy artykuł w *Wiśle* o tych wędrowcach. Gwara ich stanowi mieszaninę rozmaitych języków na podstawie fonetyki, morfologii i fleksyi polskiej. Są tam wyrazy ciekawe pod względem fonetycznym w wymianie *w* na *u* (czeuriniasty) i morfologicznym (mło*korny* na zasadzie analogii do *pokorny*) itp.

P. Aleksander Rumel mówi o obrzędach weselnych we wsi Masi w p. Białostockim. P. Jadwiga Milewska z Rembówka przysłała „Kołysanki z Ciechanowskiego." Dzwonnica z r. 1752 we wsi Mogiła pod Krakowem przedstawia styl ludowy, będący pewną odmianą „barocco" nader u nas rozpowszechnionego. Charakterystycznym jest wspornik (kapitel) w stylu Odrodzenia, znajdujący się w Boguszycach pod Rawą.

Na szczególną wzmiankę zasługuje praca p. Romualda Łazęgi p. t. „Powiat Brodnicki w świetle najnowszych badań." Rozprawa ta napisana na podstawie dzieła Hansa Plehna, „Geschichte des Kreises Strassburg in Westpreussen." Pominąwszy polemikę Plehna z Kętrzyńskim co do pierwobytności Polaków w ziemi chełmińsko-michałowskiej, zgodzić się jednak musimy, że ziemia ta w XII w. wykazuje ludność polską i że w r. 1228 przeszła na własność zakonu krzyżackiego. Brodnica (Strassburg) zawdzięcza początek Krzyżakom w r. 1298. Po bitwie grunwaldzkiej Brodnicę zajęli Polacy i trzymali miasto aż do ukończenia wojny. W r. 1414 Jagiełło bezskutecznie oblegał Brodnicę, która w r. 1479 przeszła pod panowanie Polski. W XVII w. gościli tam Szwedzi i odwiedziny swoje ponowili za Karola XII-go 1702 r. W siedemdziesiąt lat później, tj. w r. 1772, Brodnica przywłaszczona do Prus, następnie odpadła do Ks. Warszawskiego, a w r. 1815 znowu przez Prusy odzyskana.

P. Jerzy Ohr opracował przysłowia rabinów. Godnem uwagi jest sprawozdanie z pracy Karola Rhamma z Brunświku („Zur Entwickelung des slavischen Speichers" w czasop. *Globus*, nr. 18 z r. 1900). Według Rhamma, pierwotnie były trojakie śpichlerze: zbożowy, sukienno-sypialny i spiżarniany. *Komora* łacińska w obrębie domu mieszkalnego wyrugowała śpichlerz sukienno sypialny, po staroniem. *gaden*. Spichlerz zbożowy pochodzi od łac. *spica*=kłos. Częste są śpichlerze w Czechach i na Śląsku, gdy w Morawach brak ich widoczny. Z nazw śpichlerza polskiego znamy *żytnicę* i *lamus* (Lehmhaus). Art. ten zakończony jest opisem śpichlerzy południowo-słowiańskich i rosyjskich. Dział poszukiwań zawiera lecznictwo ludowe i wiele innych szczegółów etnograficznych. P. Karłowicz, chcąc zbadać obszar i granice tak zwanego *mazurzenia*, prosi o nadsyłanie wiadomości o wymowie dźwięków *cz, dż, sz, ż, rz.* W dziale właśnie sprawozdań i krytyki czytamy ocenę książki Dobrzyckiego, o tak zwanem mazurowaniu w języku polskim. Ocenę tę skreślił gruntowny znawca rzeczy, p. Karłowicz. P. Erazm Majewski dał nam referat nader cenny o pracy Sieroszewskiego, „12 lat w kraju Jakutów." W przeglądzie czasopism dowiedzieć się może czytelnik o ruchu na tem polu. Na szczególne wyróżnienie zasługuje referat p. H. Łopacińskiego z Monumenta historica Dioeceseos Wladislaviensis.

J. F. Gajsler.

LITERATURA I SZTUKA.

Liryka Kazimierza Glińskiego.

Czy znasz ten kraj, gdzie kwiaty złote kwitną?
Gdzie nieba pierś ma szatę wciąż błękitną?
. . . .
O bracie mój! Niech duch się twój nie zżyma,
Że świat to snów, że go przed tobą niema,
Więc wolę wzmóż, w gorączce prac nie stygnij,
Swe serce zbudź, w swej myśli świat ten dźwignij!

Jednocześnie z Ar. Oppmanem i Kazimierz Gliński wydał swój „*Wybór poezyj*" (Warszawa, Kraków, 1900), i oto otwieramy jego zbiorek bezpośrednio po zamknięciu książki pierwszego z nich. Przyczyna zewnętrzna zbliżyła do siebie w zwierciadle książkowem organizacye już związane z sobą wewnętrznem pokrewieństwem. Zresztą wrażenie, wywierane przez rozmaite utwory Glińskiego, nie jest jednolite; lecz z chwilą, kiedy te lub owe nuty poczynają zapadać nam głębiej w serce, spostrzegamy na raz, iż znowu mamy przed sobą naturę równie, jak tamta, szczerą, serdeczną, rzewną i marzycielską, a jej wyraz poetyczny z taką mocą przypomni nam niejednokrotnie smutne i śpiewne pieśni Or-Ota, iż często pod wierszem jednego z poetów położyćbyśby mogli podpis drugiego. Porównajmy np. dwa takie ustępy: „Gdy się chwieję wśród życiowej drogi, gdy mnie zwątpień opadną katusze, wtedy wzywam jeden obraz błogi, co łagodzi moją smutną duszę. Wzbiera w sercu rzewnych uczuć fala, w dal pierzchają zniechęcenia mgły,—i znów uśmiech usta me okala, choć po twarzy spływają mi łzy". (Pacierz za mamę). Albo: „Nie wiem jak długo było cicho, ciemno, nie wiem co czułem, czy marzyłem o czem. Nagle srebrzysta mgła zwisa przede mną, i cień się zjawił w powietrzu przezroczem. Uczułem ciepło i coś, co mię tuli, i coś, co śpiewa jakąś pieśń tajemną: to głos niewieści nucił senne: „luli", to moja matka stanęła przedemną".

Zapewne, można się dopatrzyć różnicy: u Or-Ota jest tylko wywołana „rzewnych uczuć fala"; u Glińskiego fala ta już się rozrysowywa widzialnym cieniem, skupia się w srebrzystą mgłę... Koloryt przecież jest ten sam, a co do różnic, są one tak niepewne, iż ufać ich świadectwu niepodobna; zależeć one mogą od przypadkowego wyboru zwrotki, od chwilowego nastroju słuchacza, lub wreszcie są jeno objawem pewnego uprzedzenia z naszej strony, iż odcienie indywidualne znaleść się muszą i że będą one znamienne dla obu pieśniarzy.

Jeżeli wszakże obejmujemy całość twórczości poetów, przeświadczymy się dowodnie, że jakkolwiek usposobienia ich są pokrewne, osobowości jednak nie są tożsame i przylegają do siebie jedną tylko stroną; wówczas atoli, kiedy przylegają, granice istotnie są chwiejne, a trudność poprowadzenia ich zwiększa się tą okolicznością, iż i K. Gliński i A. Oppman pod względem języka i kolorytu pozostają pod wpływem tradycyi romantycznej. Wpływ ów zresztą, zwłaszcza Słowackiego, na utworach pierwszego z nich odbił się wyraźniej i wszechstronniej. Lecz nawet w wyrazie tych właściwości i nastrojów, które zbliżają do siebie pieśniarzy, — jest to rzewność i melancholiczny kierunek wyobraźni, — nawet tu mówią, istnieją pewne odmienne a zasadnicze rysy, acz może niezbyt na pierwszy rzut oka widoczne. U Or-Ota najczęściej mamy bezpośredni wylew uczucia; jego rozmarzenie nie wciela się w kształty widzialne, choćby najeteryczniejsze, nie wymaga wtoru tych głosów, które ziemia posyła. Niekiedy tylko jego smutek i rozmarzenie stapia się w jedność z dźwiękami tęsknej piosenki, płynącej z pod palców dziewczęcia, zlewa się z melodyą, najbardziej ogołoconą z pierwiastków indywidualnych, samoistnych, odwracających uwagę od stanu duchowego poety. I może dla tego właśnie Or-Ot jest śpiewniejszy i rzewniejszy od Glińskiego. Ten zaś, jakkolwiek również posiada talent nie plastyczny ale raczej muzyczny, chętnie wsłuchuje się w szmery przyrody, współczuje jej i jej współczucia się domaga, z niej wydobywa odpowiedni swemu usposobieniu nastrój: „W szumie wiatru, co goni szare mgły obłoków, potrąca liść upadły lub zrywa z gałęzi, jest siła, co me serce pociąga i więzi, głos słyszę wypełniających nade mną wyroków." Jeżeli marzy, to owym snem

kryształowym, który tak lubią współcześni poeci, a który znany był dobrze i Zaleskiemu i Krasińskiemu. Poezya to „cicha, lekka, jak światło księżyca"... „Cicho, senno na krysztale pomarszczonym kręgiem fal; złote, srebrne płyną fale, księżyc rzuca blaski w dal..." „kołysze lilia, usypia wonią, w swych czarów pląsze cię mocy, kwiaty dokoła zapachy ronią, dzwoni srebrzysta pieśń nocy. Dzwoni pieśń nocy srebrzysta, cicha, sypie się świateł kaskada, to drzewa szumią, to wiatr gdzieś wzdycha, to blask księżyca tam pada. ." I czyż nie jest to poezya księżycowa? Czasem wyśnić można tę czarodziejską jasność, kiedy powódź światła zalewa miękkiemi falami ziemię; w dziwnej ciszy wszystko znieruchomiało. Nie drgnie liść. Wielki bezruch, wielka samotność. Tylko jakby słychać harmonię sfer. A my oto wyzbywszy się ciężaru. płyniemy lekko nad tą zaczarowaną ziemią.. Nie chciałbym, by uważano niniejsze porównanie między poezyą Or-Ota a Glińskiego, za schemat, w który wcisnąć usiłuję, jak na łoże Prokrusta, ich twórczość; pragnąłbym jeno ująć w najogólniejszym zarysie to wrażenie, które wywierają, na mnie przynajmniej, gdy tak staną jeden obok drugiego.

Zresztą, jak się już powiedziało, przylegają do siebie tylko cząstką swych natchnień. Tęskna nuta i śpiewna, w której się wydobywa na jaw zasadnicze usposobienie pierwszego z nich, dla Glińskiego jest tylko chwilą. Niema on dla siebie tak ściśle odgraniczonej, udzielnej krainy, jak tamten; jest za to wszechstronniejszy. Spotykamy się u niego z refleksyą, zajmują go różne objawy życia społecznego, potrąca o zagadnienia etyczne, nastraja niekiedy lutnię na nutę ludową... Ale przedewszystkiem, gdy tamten oddycha wprost tęsknotą, ten wyzbywa jej się rad. W jego duchu jest więcej słonecznych i pogodnych pierwiastków. On doskonale wie, iż tylko w marzeniu istnieje kraj, gdzie się kołyszą złote kwiaty, a niebo posępnemi nie okrywa się chmurami. Ale właśnie dla tego woła: daj mi wierzyć, daj! „O bracie mój! niech duch się twój nie żyma, że świat to snów, że go przed tobą niema: więc wolę wzmóż, w gorącece prac nie stygnij, swe serce zbudź, *w swej myśli świat ten dźwignij*".

Z jakimże zapałem dźwiga te światy! Niekiedy są one tak skromne i śliczne, jak dumy dziewczęcia „u wrzeciona" snute, a przypominające „Marzenie poranne" Asnyka; niekiedy tak wspaniałe i taki rozpęd w sobie ukrywające, jak „Królowska pieśń", jak bohater słonecznej Azzabiry, Almanzor...

Skądże tedy ów koloryt melancholijny, który spoczywa na większości lirycznych utworów Glińskiego? Może jest to skutek przeciwieństwa między idealnemi marzeniami a rzeczywistością? Zapewne. A może też pochodzi to stąd, że każde wspomnienie najczęściej w szatę smutku się owija? Trzeba nam jednak wytłomaczyć się z tego zwrotu do wspomnień...

Działalność literacka i twórcza Glińskiego nie była ciągła. Po pierwszych jego próbach młodzieńczych, po pieśni na pamiątkę pogrzebu Kazimierza W. (w latach 1867—9), nastąpiło długoletnie milczenie, bo aż do roku 1882, w którym poeta ogłosił pierwszą swą tragedyę „Obłąkani". Zbiorek wierszy lirycznych ukazuje się zaledwie w r. 1893. Tak tedy ta poezya w części swej najbardziej osobistej, nie jest wylewem młodzieńczych uniesień, młodzieńczej wiary i rojeń, lecz melancholijnem spojrzeniem w przeszłość. Ten ciężar, którym doświadczenie i życie niemal zawsze przytłacza, zwłaszcza natury miękkie, spragnione nie walki, lecz spokoju, uczuć tkliwych i cichych, jako przyrodzonego swego żywiołu,—to zmożenie i to wyczerpanie pierwotnej energii i pierwotnego rozpędu nie stało się wprawdzie jedyną osią twórczości Glińskiego, ale wycisnęło na niej wyraźnie swoje piętno. „Wiosno! ja znałem wiosnę... Lato! Przeszło lato. Dzisiaj dłonie wyciągam do ciebie, Jesieni... kocham ciebie, Jesieni, za tę smutków ciszę, za szare niebo twoje, jak chat wiejskich dymy, kocham ciebie, Jesieni, choć w twych szmerach słyszę lot cichy białych skrzydeł długiej, długiej zimy." Jesienne tony wciąż przebiegają przez tę poezyę... Oto np. szereg erotyków, układający się w poemat „Ostatni sen", który stanowi znaczną część ostatniego zbiorku. Chociaż nie mamy zgoła powodu zarzucać snowi temu zbytniej jednostajności, chociaż rzewny jego koloryt doskonały znajduje wyraz w godle: „za szczęście—pieśń ci daję",—jednak owa „jesienność" nastroju zapominać o sobie nie daje. Zniechęceniem, niewiarą, zn.dzeniem brzmią wiersze podobne tym—„sen piękny śniłem, lecz życie zdzierało ułud przepaski, i kwiaty wszystkie powiędły, zagasły wszystkich gwiazd blaski... Dziś—żadnych pragnień nie czuję, choć urok, czar ich rozumiem, bo — może niema miłości, a może kochać nie umiem...". Takie nuty wkradają się w pieśń o... szczęściu! Ból, który u Or-Ota rozpływa się tęskną skargą, u Glińskiego często pozostawia smak goryczy w ustach „Dobrze jest na tej ziemi, *o niczem nie myśl tylko...*" Śmieszni są ludzie, gdy płaczą na pogrzebie, śmieją się na weselu. „Ten, kto złożył czoło w trumnę, wolen wszelkich niespodzianek... zdrad nie dojrzy w przyjacielu, skaz w brylantach nie dostrzeże..." I oto dla czego poezya Glińskiego tak chętnie odwraca się od rzeczywistości i zamyka się we wspomnieniach, oto dla czego ucieka w krainy dzieciństwa i młodości, kiedy wszystko jest do zdobycia, kiedy wszystko jest przed nami, a za sobą nie mamy żadnych ruin i popielisk... a jeżeli nawet są, młodość umie je z pamięci swej wygładzić. Pierwszy poemat (opisowy) Glińskiego—to „Tatry", w których pragnął po wielu latach w „szarej godzinie" odtworzyć wrażenia, doznane w wiośnie życia... Na czele ostatniego zbiorku położył znamienny wiersz: „Pierwiosnku! jesteś ty młodością roku. Młodości! jesteś ty pierwiosnkiem życia. Czas dla was płynie na falach potoku, wśród blasków słońca i wśród tęcz spowicia..." Z tych blasków i tęcz młodzieńczych próbował poeta wysnuć większy poemat („Bezsenne noce"), z którego ogłosił kilka zaledwie ślicznych wyjątków... A obok obrazków pogodnych lub rzewnych znajdą się inne, naznaczone stygmatem bólu i przeczucia, coś niby przepowiednia cyganki, która Lenartowiczowi tułaczkę wywróżyła. „Krzyk nagły z dziecięcej padł piersi... Na ręce piastunki runął zach. Zerwała się niania, sen widmo odgania, lecz stoi mara — duch! Nad dzieckiem schylona wyciąga ramiona, unosi krwawą dłoń, pochyla się, bladnie i ręce swe kładnie na pierś mu, czoło, skroń!" (D. n.).

A. Drogoszewski.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

MONOGRAFIE LITERACKIE. Piotr Chmielowski: „Adam Mickiewicz," zarys biograficzno-literacki, wydanie trzecie poprawione, z 2-ma portretami poety. Tom I, str. 428; tom II, str. 450. Warszawa. Gebethner i Wolff. Cenne to dzieło zasłużonego badacza ukazało się po raz pierwszy w r. 1885, wyprzedziło więc zarówno czterotomową biografię wielkiego poety, która wyszła z pod pióra jego syna, jak i dwutomowe studyum o Mickiewiczu prof. J. Kallenbacha. W pracy swej, będącej niewątpliwie najwszechstronniejszym z dotychczasowych wizerunków życia i twórczości Adama Mickiewicza, dał Chmielowski niezmiernie wartościową i trwałą podwalinę pod dalsze studya nad najznakomitszym naszym poetą.

— „Henryk Sienkiewicz w oświetleniu krytycznem Piotra Chmielowskiego." Str. 226. Lwów, Tow. wydawnicze. Warszawa. księgarnia S. Sadowskiego.

POEZYA. „Pisma Zygmunta Krasińskiego." Tom I, str. 248; t. II, str. 266; t. III, str. 228; t. IV, str. 326. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa. Jest to najzupełniejsze i najtańsze wydanie warszawskie pism znakomitego poety, które, jak przedtem dzieła Mickiewicza i Słowackiego, drukowane było, jako dodatek dla prenumeratorów *Kuryera codziennego*. Tom pierwszy obejmuje „Agaj-hana" i „Niedokończony poemat," tom II — „Nieboską komedyę" i „Irydyona," tom III — utwory liryczne, „Noc letnią i kilka powieści historycznych, tom IV — „Władysława Hermana i dwór jego."

— Ada Negri: „Niedole, Burze," przekład Maryi Konopnickiej Str. 202. Warszawa, nakładem Bronisława Natansona Wspaniale wydany zbiór utworów lirycznych wrażliwej na niedolę współczesną poetki włoskiej, której parę pięknych poezyj drukowaliśmy niedawno w tłomaczeniu Anny Bronisławskiej.

— Andrzej Niemojewski: „Bajka," poemat w jednej odsłonie. Wydanie drugie, str. 40. Warszawa, nakł. autora.

— Lamary: „Fiołki," poemat wiosenny. Str. 100 Warszawa, 1901.

POWIEŚĆ. Adam Krechowiecki: „Fiat lux!" obraz historyczny z czasów Jadwigi i Jagiełły. Str. 480. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa.

— Wiktor Gomulicki: „Biała, Chałat, Te przeklęte czarne oczy..., Alleluja, Kwiaty z lasu." Str. 192 Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa.

JĘZYKOZNAWSTWO A. Brückner: „Cywilizacya i język." Szkice z dziejów obyczajowości polskiej. Wydanie poprawione i powiększone. Str. 156. Warszawa, druk K Kowalewskiego. Praca niniejsza, jak wyjaśnia w przedmowie autor, wykazuje, w jaki sposób wyzyskiwać należy materyał językowy dla badań dziejowych i obyczajowych. Jest ona zmienionem i rozszerzonem wydaniem artykułów, drukowanych w r. 1898 w *Bibliotece warszawskiej*.

EKONOMIA. Karol. Gide. Zasady Ekonomii społecznej. Polskie wydanie drugie opracowane i rozszerzone przez dr. Wł. Czerkawskiego. Wydanie spółki Wydawniczej polskiej w Krakowie

ROLNICTWO. Dr. A. Sempołowski: „Wyniki prac i doświadczeń wykonanych od 1-go lipca r 1899 do 1-go lipca r. 1900 przez stacyę doświadczalną w Sobieszynie."

HYGIENA. Dr. R. Röse: „Jak pielęgnować zęby i usta." Przełożył P. Klein. Wyd. Orgelbranda str. 58.

MATEMATYKA. P. Poznański: „Pierwiastki pierwotne liczb pierwszych "

NAUKI SPOŁECZNE. A. D. Bancel: „Les cooperatisme." Paris, Librairie C. Reinwald. Editeurs Schleicher, Freres. 15, rue des Saints Peres. Prix 1 fr. 50 c.

CZASOPISMA. Marcowy zeszyt *Biblioteki warszawskiej* zakończył pierwszy z r 1901 tom tego poważnego miesięcznika, w którym, obok badań historycznych i studyów literacko - artystycznych, znajdują w ostatnich czasach dość szerokie uwzględnienie sprawy społeczne i ekonomiczne [illegible] dya filozoficzne i przyrodnicze. W styczniowym i marcowym zeszytach tego [illegible] zwraca przedewszystkiem uwagę pierwsza część ciekawego studyum historycznego prof. Szymona Askenazego p. t. „Pożegnanie stulecia," w którem autor usiłuje odnaleźć ukryte sprężyny ważniejszych wydarzeń dziejowych świeżo zamkniętego wieku i, zatrzymawszy się obszerniej nad kongresem wiedeńskim oraz powstaniem t. zw. „świętego przymierza," doprowadza rzecz swoją do r. 1830. W szkicu literackim p. t. „Poeta myśli" p. Adam Krasiński, opierając się na nieznanej dotychczas ogółowi korespondencyi Zygmunta Krasińskiego z młodym jego przyjacielem H Reeve'm, daje zajmującą próbę wyświetlenia najważniejszych czynników duchowych, które wpłynęły na kierunek myśli i twórczości wielkiego romantyka. Autor, będący wnukiem twórcy „Irydyona," pragnie w swej pracy wykazać, „jak w zaraniu twórczości umysł ten stawał się sobą," przyczem polemizuje z powodzeniem z fantastycznym poglądem prof. St. Tarnowskiego, uważa-

jącego w swej głośnej książce bezosobistość (!) za jedną z zasadniczych cech poezyi Z. Krasińskiego. — Z dziedziny literatury i sztuki wymienimy jeszcze z prac, ogłoszonych w *Bibliotece*, rozprawkę p. K. M. Górskiego o przekładach Dantego na język polski, a dalej studyum o Józefie Verdim Wł. Bogusławskiego i szkic o Arnoldzie Böcklinie przez p. Stefana Popowskiego. Nadto prof. Struve zastanawiał się w tomie tym nad „Ruchem etycznym nowych czasów," uwzględniając przytem głównie dzieła J. Giżyckiego, P. Carusa, M. Brascha i W. L Scheldona; p. J. Jezierski umieścił obszerną pracę o stowarzyszeniach rolniczych; p. S. Kramsztyk dał interesującą rozprawkę o prawie i hypotezie w badaniu przyrody. — W dziedzinie beletrystyki wreszcie *Biblioteka warszawska* drukuje w r. b. nową powieść Józefa Weyssenhoffa p. t. „Sprawa Dołęgi"

POEZYE

Marya Konopnicka.

Dusza moja w gwiazdach czyta...

Zadumane moje oczy,
Twarz schylona i zakryta,
Mrok powiewa chustą ciemną...
Widzę przecież, jak nade mną,
Na szafirów gdzieś roztoczy,
Złotych astrów łan zakwita...

...Dusza moja w gwiazdach czyta.

Jakaś wielka, mglista karta,
W tajemnicze runy ryta,
Wskroś otwiera się przede mną,
Wskroś przede mną jest otwarta...
W izbie mojej pusto, ciemno,
W zadumaniu twarz zakryta...

...Dusza moja w gwiazdach czyta.

. . . .

Ziemio! Ty będziesz tak myślami bita,
Jak burzliwym oceanem,
Aż w polu, zorzą owianem,
Ostatni kłos twego żyta
W chleb się braterstwa przemieni,
Pełen promieni,
Który przełamią z sobą—przez lądy i wody—
Świata narody!

Ziemio! Ty będziesz tak chłostana duchem
I siedmiu wichrami jego,
Które na ciebie nawałnicą puści,
Że musisz dźwignąć się wszechmocnym ruchem
Z prastarych orbit czeluści,
W coraz wyższy krąg, bez końca
Wstępująca,
Do najwyższego,
Do kręgu słońca!

Ziemio! Ty będziesz tak podminowana
Prochami, co leżą w tobie,
Jak podścielisko wulkana..
Każde ludzkie pokolenie,
Co płonącem czuciem wzlata
Ku jutrzennym brzaskom świata,
A zaś w twem łonie składa swoje kości,—
Każdy wiek twój pogrzebany,
Każde wielkie ludzkie serce,
Co się rozsiewa w swym grobie
W posiew miłości,
Każda pierś, w której śpiewa przyszłych dni
[natchnienie,
Zapala w tobie tajemne wulkany,
Widzialne w drobnej iskierce.

Aż kiedy się wyzwoli cały zaczyn śmierci,
Buchniesz, jak krater przepiorunowany
Na ćwierci...
I skroś pyłu i kurzawy,
Skroś dymów i ogniów bicia,
Z pośród gorejącej lawy,
Dobędzie się zawierucha
Nowego życia,
Nowego ducha...

I uświeżona będziesz i będziesz kwitnąca,
Pod nową jutrzenką słońca!

. . . .

Szumią już fale myśli, fale ideału..
Podmywają twoje brzegi,
Wdzierają się w twoje właście,
Na twe szczyty, w twe przepaście,
Jak niecofnione zdobywcze szeregi.
Każda myśl wstrząsa twą starą łupiną,
Każdy przypływ zapału
W pierś twą uderza,
Jak fala świeża,
Wzbita gdzieś na głębinach tajnych oceanu
Nieskończoności..

Aż kiedy przejdą wieki i czasy przeminą,
Wśród zwycięskiego peanu
Wszechświata i wszechmiłości,
Rozleją się potopem myśli ludzkiej tonie
Po twojem łonie,
I—nowa Atlantyda—w wód nowych naporze,
Musisz uledz! Nad tobą będzie myśli morze!

Huczą już zdala wichry! Od kończyn zaświata
Burza duchów nadlata...
Jedne w ogromnym pędzie,
W błyskawicowym locie,
Inne — jako łabędzie,
W gasnącej zórz pozłocie,
W szerokich łun zachodzie,
Wypływające, ciche, srebrne łodzie...
Inne—ledwo z chmur czasów mrokiem się wy-
I rogate piorunem ukazały czoła... [lęgły,

Ale ruch wieczny już je pędzi, woła,
Już je na cztery twe ponosi węgły,
Już je przenika,
Chwyta, jednoczy,
Aż od śpiewnego gajów twych ogniska
Po duch synajski, proroczy,
W jedną burzę je ciśnie,
W jeden grom je rozbłyśnie,
Nad bezduszne bagniska,
Nad wygasłe ogniska,
Nad lodów stalaktyty,
Nad łan, zbożem okryty.
Nad doliny, co drzemią...

Aż huf duchów, rozpętany
W błyskawice, w huragany,
Rozegrzmi się w koniec z końca,
Porwie cię, o gnuśniejąca,
O ziemio,
W ruch potężny, w ruch nowy, do słońca!...
[Do słońca!..

. . . .

. . . .

Zadumane moje oczy,
Twarz schylona i zakryta,
W izbie mojej pusto, ciemno...
Widzę przecież, jak nade mną,
W szafirowych pól roztoczy
Łan gwiaździsty gdzieś zakwita...

...Dusza moja w gwiazdach czyta.

(Przedruk z *Tygodn. ilustr.*).

SPRAWY EKONOMICZNE

DOLA I NIEDOLA LUDNOŚCI WIEJSKIEJ

Służba dworska w pow. Płońskim.

III.

Urządzenie wewnetrzne dostarczanego przez dwór mieszkania składa się z czterech ścian, które parobek własnym kosztem zwykle sobie bieli, i kuchni angielskiej, (nad którą czasami bywa, dla odciągania dymu i pary, kapa) i połączonego z nią ogrzewalnika. W niektórych izbach bywają jeszcze i piece do pieczenia chleba. Nie zawsze jednak ten aparat ogrzewający dobrze działa; kuchnia zwykle dymi, a ogrzewalnik mało grzeje. Najważniejszą wadą kuchni może jest to, że z paleniska bardzo łatwo wysuwa się gorejące tam drzewo i często bywa powodem śmiertelnego poparzenia pozostawionych bez dozoru dzieci małych. Może jedyną, nie wiem tylko, czy praktyczną radą byłoby zaopatrzenie górnego (do wkładania drzewa) otworu kuchni w mocno zamykające się drzwi, które zaśrubowane przez matkę, w razie jej wyjścia z domu nie mogłyby być odemknięte przez dzieci.

Do owego mieszkania dworskiego parobek wnosi 2 lub 3 łóżka, trzecie lub czwarte — posyłka, stół, szafkę, na której ustawia czasami krzyż, i jakieś 2 szklane lichtarze lub lampę; szafę do misek, talerzy i garnków; 1 lub 2 skrzynki albo kuferki 2 lub 3 krzesła, kilka stołków bez poręczy, czasami długą ławę, 2 kubły, faskę do żarcia dla świń, szaflik, pieniek pod kubełek z wodą, kołyskę, nieco drobniejszych sprzętów domowych, i swoją nieliczną garderobę. Na ścianach zawiesza kilka lub kilkanaście obrazów świętych — nowych lub też starych, rodzinnych bohomazów, liczących nieraz po kilkadziesiąt lat, na oknie stawia kilka pelargonii i geranii czasami różę, fuksyę „pannę młodą," a na szafce przy krzyżu lub w szufladce, jeżeli jest piśmienny — książki do nabożeństwa, elementarz, jakiś stary kalendarz; czasami zaś znaleźć tam można nabytą, częściej jednak pożyczoną ze dworu, lub od kogoś innego mniej lub więcej dobrą byleby nie grubą książkę. Niekiedy jednak całe umeblowanie ubogiego parobka składa się z 2 łóżek, 1 szafy, 1 skrzynki, 3 krzeseł i 2 stołków, garnków, misek, talerzy i t. d. Porządek wewnątrz izby zupełnie zależy od żony parobka; bywa też rozmaitym. Czasami podziwiać należy czystość biednej tej siedziby chłopskiej; pościel z nieodzownemi pierzynami na łóżkach, przykryta tanim wzorzystem okryciem lub szmaciakiem, czysto wypranym, obszytym białymi ząbkami własnej roboty, stół, szafka, stołki, szafa, miski, szklanki, talerze — czyste podłoga zamieciona; w innych zaś izbach, gdzie gospodyni niedołężna — brak porządku, zaduch, kurz, śmieci, pościel brudna, dzieci zasmolone. Wogóle jednak częściej spotykamy względny porządek i czystość, niż odwrotnie. Niektórzy trzymają w domach króliki, oszczędne zaś gospodynie na zimę biorą pod kuchnię, jeżeli mają tam jakiś otwór, kury, ażeby się prędzej i lepiej niosły. Niektórzy obywatele, szczególnie dzierżawcy dóbr prywatnych i majoratów, nie chcąc robić wielkich wydatków na budowę domów, wynajmują dla swej służby część mieszkań u włościan. Są one najszczuplejsze i najgorsze, a kosztują po 7 do 10 rubli rocznie. Średnie mieszkanie dworskie z dodatkami liczę, stosownie do panujących na wsi cen, po 12 rubli; paru wprawdzie obywateli dowiodło mi, że procent od sumy, użytej na budowę chałup, umorzenie i wydatki na utrzymanie mieszkania w porządku — wyniesie nieco więcej, najwyżej jednak około 15 rubli rocznie, w innych jednak wypadkach koszty te okazały się znacznie mniejszymi, pozostaję więc przy pierwotnie podanej przeze mnie cenie.

Na zasadzie wyżej przytoczonych danych możemy obliczyć wartość pieniężną dawanego przez dwór utrzymania rodzinie parobka. Licząc pensyę, drzewo (sążeń, 12 rubli — rok 1897 i 98), furmankę pod drzewo (3 ruble od przywiezienia sążnia), zboże (żyto 3,55 k. pszenicę 5,12, groch 4,90, jęczmień 3,40 k. za korzec); wartość dawanych pod kartofle zagonów (po 1. rb. zagon) lub wartość gotowych kartofli (1,20 k. korzec), utrzymanie krowy (10 rb.), kur (25 k. za sztukę), świń (2 rb. za sztukę) mieszkanie, dół na kartofle i chlewek (12 rubli), osiągniemy wartość utrzymania furmana od koni cugowych równą 161 rbl., fornala od koni roboczych (z posyłką)

135 r., rataja z posyłką 132 rb. 30 kop. fornala lub rataja bez posyłki 110 rbl. Te cyfry średnie otrzymałem z wyliczenia wartości utrzymania, dawanego przez dwory dla każdej z 110 badanych przeze mnie rodzin. Dla parobków z posyłką do sumy powyższej musimy dodać jeszcze to, co zarabia posyłka. Wynagrodzenie posyłki prawie w każdym dworze bywa inne; najczęściej się jednak zdarza, że w żniwa ozime, około 4 tygodni, posyłka dostaje za każdy dzień roboczy 30 k. w jare (około 10 dni) 22 i pół kop, później — do końca kopania kartofli i buraków po 15 kop.; następnie zaś — do 1-go kwietnia — po 7 i pół kop., a od 1-go kwietnia do grabienia siana 10 kop., potem po 15 kop., aż do początku żniw. Stałą jest tylko opłata w żniwa ozime — po 30 kop., inne zaś zmieniają się w każdym dworze. Bardzo często się zdarza opłata obliczana według znanych terminów ludowych, a więc po 30 k. — żniwa, po 15 k. do ś-go Michała, po 7 i pół k. do 1-go kwietnia lub też do ś-go Wojciecha, po 10 kop. do ś-go Jana i po 15 kop. do żniw. Po odliczeniu świąt, niedziel, dni, marnowanych podczas przenoszenia się z jednego do drugiego majątku, i 6 dni na chorobę, wypadło mi, że posyłka pracuje średnio 286 dni rocznie, w tej liczbie $71^{1}/_{2}$ w 1-szym, $68^{1}/_{2}$ w drugim, $73^{1}/_{2}$ w trzecim, a $72^{1}/_{2}$ w czwartym kwartale. Najwyższy zarobek w przeciągu tych 286 dni wyniósł (w jednym tylko majątku) 53 ruble 72 kop., najniższy zaś (w 5 majątkach) 31 rubli 5 kopiejek; średnio na zarobek posyłki wypada 36 rubli 58 kopiejek. Po dodaniu tej sumy do przytoczonych, jako dochód parobka, poprzednio widzimy, że utrzymanie, dawane przez dwór furmanowi od cugowych koni z posyłką równa się 197 rb. 58 kop., fornalowi z posyłką 171 kop. 58, ratajowi z posyłką 168 r. kop. 88. Różnice pomiędzy wynagrodzeniem w jednym, a w drugim dworze dochodzą nieraz do 45 rb.; zaznaczyć jednak należy, że różnice mogą być tylko pozorne; a więc przedewszystkiem, w majątkach, które dają większe utrzymanie od siebie, mogą być daleko gorsze pastwiska dla bydła, gorsza i mniej odpowiednia ziemia pod kartofle, i mogą być następnie większe wymagania, co do nasilenia pracy; mogą wymagać starszych, dorosłych posyłek, za każde zepsucie narzędzia, za hardość, za czas zmarnowany wskutek choroby mogą wytrącać pewne kwoty, które znacznie zniżają zarobek, mogą wreszcie ściśle pilnować tych, którzy niewiele robią różnicy pomiędzy tem, co należy do nich, a co do dworu. Słyszałem rozmowę parobków, w której jeden, przytakując warunki, ofiarowane mu przez oficyalistę pewnego majątku (12 korcy ordynaryi, dużo opału, większą niż zwykle pensyę), mówił, że chyba się tam wypadnie zgodzić, drugi zaś na to mu odparł: „Ej, bracie, daj pokój! Już jak tylko oni tam dają taką ordynaryę“ (owynaryę), to już tam musi coś być niedobrego; lepiej się przepytaj tych, co tam już byli.“ Wogóle lud niezbyt chętnie i pochopnie wierzy w dobre, a bezinteresowne usiłowania obywateli.

Wynagrodzenie, jakie posyłka pobiera od parobków, waha się mniej więcej tak, jak zarobki we dworze, najwyższe wynosi 33 ruble, najniższe 21, a średnie 25 rubli 57 kopiejek. W jednym wypadku wynosiło tylko 13 rb. 50 kop., ale posyłką była wdowa czy też dziewczyna z dwojgiem dzieci, „gospodarz“ więc oprócz powyższej sumy, zobowiązywał się do żywienia i doglądania tych dwojga dzieci.

Jak to już wspominałem, parobcy we wszelki możliwy sposób starają się pozbyć z domu posyłki, na wsiach więc, w których włościanie mieszkają w pobliżu dworu, godzą jako posyłki włościańskie wyrostki lub wreszcie synów innych służących, obarczonych liczniejszemi rodzinami, na tych warunkach, że posyłka taka będzie chodziła do dworu tak, jak zwykła, pozostanie jednak na życiu i mieszkaniu, opraniu i obszyciu u swych rodziców, a zato wynajmujący ją parobek odstępuje jej cały zarobek we dworze i dodaje pewną ilość zagonów zboża, a czasami i pieniędzy. Zanotowałem tylko 4 takie wypadki; w jednym parobek do zarobku we dworze dodawał posyłce ze swej ordynaryi korzec żyta, korzec jęczmienia i ćwiartkę pszenicy (8 r. 30), w drugim (Krubice) zaś półtrzecia korca żyta, pół korca jęczmienia, 2 zagony pod kartofle, placek pszenny, ser, kwartę masła i rubla na Wielkanoc. Zapewne był to syn jakiejś biednej wdowy, która nie chciała się z nim rozstawać. Średnia dopłata, jaką parobcy dawali posyłce, wyniosła 9 rubli i 70 kopiejek. Oprócz utrzymania parobek obowiązuje się dawać posyłce „opranie i obszycie,“ to jest żona parobka musi prać posyłce bieliznę, spodnie płócienne, przyszywać mu guziki, dawać łaty ale — wartość tego oprania i obszycia parobcy obliczali mi na 3 do 5 rubli, średnio więc 4; co brali przytem za podstawę do obliczeń, nie wiem, żaden jednak nie podał mniej niż 3, ani więcej niż 5 rubli. Jeżeli porównamy wynagrodzenie fornala z posyłką, z wynagrodzeniem fornala bez posyłki, to okaże się, że na utrzymanie posyłki parobkowi pozostaje 61 rubli i 58 kopiejek. (W tej liczbie 36.58 k. + 2,97 kop. z zasług gotowizną, razem 39 r. 51 k., a reszta — zwiększej ordynaryi); ponieważ zaś pensya posyłki wynosi 25 rubli 57 kop., a 4 ruble na opranie i obszycie, na utrzymanie więc, właściwie na „życie,“ posyłki, pozostaje się 32 ruble i 1 kopiejka. Ci, którzy trzymają posyłki na swoim wikcie, jak widzieliśmy z poprzedniego, dopłacają do zarobku dworskiego 36 kop., 58 — tylko 9 rubli 70 kop., a więc oddają na utrzymanie posyłki tylko 46 rubli 28 kop., a dostają 61 r. 68 kop., zarabiają przeto 15 rubli rocznie. To jest powód drugi, zapewne znacznie ważniejszy, niż poprzednio przezemnie przytoczone, że parobcy tak chętnie pozbywają się posyłki ze zwego stołu.

Podczas żniwa, kopania kartofli, grabienia siana, kiedy każdy dzień pogodny przynosi gospodarzowi tysiączne dochody, każdy dzień słoty wielkie straty, wyrusza do roboty w pole prawie cała ludność wioski, wyruszają także i żony parobków i ich niedorośli synowie i córki; dla każdego wtenczas znajdzie się odpowiednia praca, w domu pozostaje tylko niedołężna matka, ojciec, lub jeżeli ich niema, to któreś ze starszych dzieci, aby przypilnować najmłodsze rodzeństwo, oraz zrobić zapas drzewa i wody do gotowania „strawy.“ Idą wtenczas do roboty nietylko z musu, żeby coś zarobić, albo odrobić za wzięte od dworu zagony, zboże, kaszę, mięso, lub kartofle, ale i dla tego, że wtenczas przy robocie „wesoło,“ cieszy się bezwiednie dusza odwiecznego rolnika (tak jak się cieszyłem przy robocie we żniwa i ja), widząc wyrosłe i dojrzałe zboże, widząc niejako zapewnienie na cały rok dostatniego życia nietylko dla siebie, ale i dla swego bliższego i dalszego otoczenia. Podczas żniw, pomimo upału, pomimo całodziennej ciężkiej pracy, prawie nie widać smutnych twarzy; ludzie do roboty chętniejsi, ci, których w innym czasie prawie ciągle trzeba przy robocie popychać, pracują z własnej chęci, a pracują z całych sił, kiedy widzą zbliżającą się burzę, lub długotrwałą niepogodę. Podczas żniw, tej wyjątkowej na wsi pory, wychodzą do roboty nawet i te leniwe wiejskie kobiety, które nie mogą pracować, bo to im szkodzi lub też nie potrzebują, bo przecież mają od roboty „chłopa,“ i te wiejskie dziewczęta, co to zajmują się szyciem, a już brzydzą się robotą ordynarną. Nie wychodzą tylko rzeczywiście chore, lub obarczone bardzo małemi dziećmi, których nie mają przy kim zostawić. Swoją drogą dwory, chcąc sobie zapewnić jaknajwiększą liczbę robotnika, wszelki odrobek wyznaczają na czas żniw; dla żon parobków robią wtenczas wszelkie możliwe udogodnienia, a więc w niektórych dworach pozwalają im przychodzić dopiero od śniadania (to jest od godziny 6-ej i pół), ażeby mogły nakarmić dzieci i przygotować jedzenie dla męża i posyłki, na południe zaś i wieczorem puszczają ją od roboty o jakieś pół godziny wcześniej... Pomimo to wszystko nawet podczas żniw żona parobka nie może chodzić codziennie, gdyż musi upiec chleb, wszystkich obszyć i oprać, co jej w najlepszym nawet razie, to jest wtenczas kiedy ma starą matkę do pomocy, zajmie conajmniej 1 dzień w tygodniu; te zaś kobiety, które nie mają nikogo starszego w domu, chodzą do roboty tylko po 3—4 dni tygodniowo. Jeżeli są w domu ojcowie staruszkowie, to ci, o ile im sił starczy, chodzą do roboty zwykle tylko po tylo, aby sobie zarobić na jakie takie ubranie, czasami zaś tylko pasą świnie lub robią coś podobnego przy domu. Odpowiednio do małej ilości czasu, którym żona parobka rozporządza, zarobki jej bywają niewielkie, wahają się jednak w dosyć znacznych granicach. Wyjątkowo chętna do pracy, starowna, zabiegliwa, szczególnie obdarzona wielu dziećmi, a więc mająca na kogo pracować, tak nieraz dobrze umie rozporządzać swoim czasem, że pominąwszy zimowe miesiące, kiedy zapłata za robotę nie przenosi $7^{1}/_{2}$ lub 10 kop., pracuje „na pańskiem“ prawie cały rok i zarabia nieraz aż do 31 rubli i 40 kopiejek. Najwięcej zwykle zarabiają żony parobków bez posyłki, szczególnie te, które mają matki, bo nie potrzebują się niczem krępować; mąż zje wtenczas, kiedy mu się da. Dla 4 ech żon parobków bez posyłek lecz z matkami wypadło mi po 26 rubli i 30 kop., rocznego zarobku, dla 46 zaś żon parobków z posyłkami średni zarobek wyniósł tylko 10 rubli 91 kopiejka, a z dołączeniem żon parobków bez posyłek — średnio 12 rb. 14 kop. Zauważyć należy, że niektóre z żon parobków zarobiły np. przez cały rok 94 kopiejki, 3 ruble, 4 ruble, a były i takie, które zarobiły 26 rubli, 27, a nawet jedna 29 rubli i to taka, która nie miała przy sobie matki, ale 6-ro dzieci, więc miała na kogo pracować, a przytem starsze dzieci pilnowały w domu młodsze, i doglądały chudobę domową: świnie i kury. Średnio dla wszystkich żon parobków z posyłką niemających przy sobie rodziców roczny zarobek wynosi ściśle 9 r. $99^{1}/_{2}$ kopiejki (taką też sumę podawali mi ci, co nie umieli wyrazić zarobków kobiety w ścisłych liczbach) zarobek zaś kobiet niemających matek był średnio o 5 rubli wyższym, a więc dochodził do rubli 15. Nie we wszystkich dworach i nie w każdym roku zarobki bywają jednakowe; zależy to od wynagrodzenia, dawanego podczas kopania kartofli, jako też i przed żniwami (we żniwa wszędzie płacą 30 k.) i od długości (kiedy przeszkadzają słoty) lub krótkości żniw. W Ar. np. w 1899 roku średni zarobek żony parobka wyniósł 9 r. 88 kopiejek, a w 1900 tylko 8,19 k.; w Sz. — 9,84 k., w innych majątkach więcej. Ostatecznie jako średni zarobek kobiety (z posyłką) musimy uważać 10 rubli, względnie 10 rubli 91 kop., a kobiety bez posyłki około 15 rubli rocznie; ma się rozumieć w tych 10 lub 15 rublach liczą i cały odrobek.

Na zasadzie tego, co powyżej przytoczyliśmy, możemy obecnie obliczyć mniej więcej szczegółowo całkowity dochód parobka na ordynaryi, a więc obliczymy przedewszystkiem poboczne dochody średniej rodziny parobka. 1) Z cieląt — średniego dochodu na 1 rodzinę wypadło 3 r. 12 kop., 2) ze sprzedaży jajek— 4 rbl. 21 ko., 3) ze sprzedaży kur i kurcząt wypadło mi 1 rbl. 88 kop., 4) z zarobku na sprzedanych świniach 13 rubli 24 kop., 5) wartość

zabijanego na rok wieprza wynosi na 110 rodzin 14 rubli 77 kop.; zauważyć należy, że do rachunku swego wciągam i tych, co sprzedawali cielęta, jajka, świnie, zboże mleko itd., i tych, co nie sprzedawali, 6) ze sprzedaży żyta kartofli, siemienia lnianego i kapusty $59^1/_2$ kop.; 7) mleka, sera, masła 74 kopiejki: 8) worków i płótna 4 kop., ogółem więc zarobku z pobocznych dochodów $38{,}55^1/_2$ kopiejki, I; z zarobku posyłki we dworze 36,58 kopiejek, II, z zarobków żony 10,00, 10,91 do 15,00 kopiejek, III; utrzymanie parobka z posyłką 136,00, kopiejek, IV. A więc cały dochód parobka—$220{,}13^7/_4$ do $225{,}13^3/_4$ k. Z tego gotówki — (licząc do gotówki dla wygody i odrobek) parobek dostaje 38,55½ kop. + 36,58 + 10,00 (względnie 15,00) + 26 r. 79 k., z salug, razem 111 rubli 92 kop., względnie 116 rubli. i 92 kop., a resztę dostaje w naturze, (około 108 rubli). Parobek bez posyłki, według naszego rachunku, miałby dochodu 110 rubli +38,55½+15,00, co się równa 153,55½, a gotówki dostawałby 23—86 kop. pens).+38,55½+15,00 ogółem 76,41½ kop.

Stangret czyli furman od cugowych koni 161 rubli +38,55½ k.+36,58 k.+10,00, razem 246,13½. Dodać jednak należy, że furmanowa zwykle uważa się za zbyt wielką damę, aby miała chodzić do roboty, ale za to jej mąż ma stosunkowo częste napiwki. Gotówką furman pobiora 32.42+ $38{,}55^1/_2$+36,58+10,00, co razem wynosi $117{,}55^1/_2$ kop.

Dr. L. Rutkowski.

WIADOMOŚCI URZĘDOWE

Począwszy od drugiej połowy ubiegłego stycznia w większości wyższych zakładów naukowych różnych wydziałów zachodziły w różnym czasie zaburzenia studenckie, które w wielu z tych zakładów pociągnęły za sobą zawieszenie wykładów przed nadejściem feryj wielkanocnych. Takie zawieszenie wykładów, które przeszkodziło do normalnego ich ukończenia, wytworzyło położenie, że studenci mogą być zmuszeni albo do stracenia roku szkolnego, albo też w niektórych razach, na mocy istniejących przepisów, do opuszczenia zakładu naukowego. Skutki takie mogą ciężko zaważyć na losie studentów, a dla niektórych z nich, z uwagi na stosunki osobiste lub rodzinne, byłyby prawdziwem nieszczęściem. Zwołana z Najwyższego pozwolenia, pod przewodnictwem ministra oświaty, osobna narada głównych naczelników zarządów, pod których zawiadywaniem pozostają wyższe zakłady naukowej uznała za konieczne, do przywrócenia prawidłowego biegu życia naukowego w wymienionych zakładach, zarządzenie środków następujących:

1) W ciągu kwietnia w wyższych zakładach naukowych wznowić wykłady, lub też na mocy rozporządzenia władzy naukowej bezpośrednio przystąpić do egzaminów przejściowych i ostatecznych w terminach, wskazanych przez zwykłe rozkłady.

2) Gdy na ukończenie wykładów i dokonanie egzaminów do chwili rozpoczęcia feryj letnich zabrakło czasu, to należy wykłady to i egzamina przedłużyć na czas wakacyjny, pozostawiając właściwej władzy naukowej oznaczenie dat koniecznych w tym przedmiocie.

3) Tych, którzy nie staną do egzaminów bez szczególnie ważnej przyczyny lub też ich nie zdadzą, poddawać wszystkim skutkom, wskazanym przez przepisy obowiązujące w tej mierze w oddzielnych zakładach naukowych.

4) W wyższych zakładach naukowych tytułem wyjątku, pozwalać w roku bieżącym na egzaminy jesienne i egzaminy dopełniające w szczególnie ważnych razach dla osób poszczególnych, zgodnie z podaniami tych ostatnich, na mocy upoważnienia właściwej władzy naukowej.

(*Tel. Ag. Ros.*).

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Petersb. Gaz.* wyjaśnia przyczynę opublikowania listu hr. Tołstojowej tem, że list ten był w odbitkach hektograficznych rozpowszechniony bardzo szeroko. Uznano przeto za właściwe ogłosić go razem z odpowiedzią metropolity w dodatku do *Cerkow. Wied.*

— Komitet Towarzystwa muzycznego po nowych wyborach utworzył się w sposób następujący: na prezesa powołany został p. J. A. Święcicki, na wiceprezesa p. Wł. Zachorski, na skarbnika p. Rydygier, na gospodarza p. Felst, na bibliotekarza i sekretarza p. J. Stattler, na dyrektora muzycznego p. Z. Noskowski.

— *Nowości* donoszą za dziennikami finlandzkimi że rada uniwersytetu helsingforskiego usunęła z posady asystenta w laboratoryum fizycznem, mag. filoz. Malstroma, za to, że należał do rozruchów ulicznych w d. 18 lutego. P. Malström był jedyną osobą ze sfer uniwersyteckich, która brała udział w tych zaburzeniach.

— Rudolf Virchow kończy d. 13 października r. b. 80-ty rok życia. Celem należytego uczczenia dnia tego utworzył się w Berlinie specyalny komitet ze znanym anatomem, prof. Waldeyerem na czele.

— W Auteuil, pod Paryżem, wystawiono na sprzedaż z powodu odmowy płacenia podatku dodatkowego słynny klasztor assumpcyonistek. Do licytacyi stanął jeden tylko człowiek: bankier rzymski Pacelli, który nabył klasztor z ogromnym parkiem za milion czterdzieści tysięcy franków. Pacelli okazał się podstawionym. W klasztorze tym od lat kilkudziesięciu istniał największy i najwytworniejszy we Francyi pensyonat żeński. Gmach i park należały niegdyś do Napoleona I, później do aktorki Racheli, a w końcu do Thiersa.

— Zarząd poczty w Krakowie nakazał niszczyć karty pocztowe, nadchodzące lub wysyłane z Krakowa, na których znajdują się rysunki uwłaczające moralności.

— W szpitalu św Jana Bożego wyznaczyła rada miejska dobr. publ. 300 rb. na nagrody dla służby za staranne pielęgnowanie i obchodzenie się z chorymi.

Szkoły. *Prawit. Wiest.* donosi, że w gub. Kowieńskiej zakładane są obecnie szkółki ludowe zupełnie nowego typu, w postaci oddziałów szkolnych, czyli szkół domowych. Prawo otwierania takich oddziałów należy do dyrekcyi szkolnej. Nauczycielami mogą tutaj być osoby, które skończyły szkołę miejską, powiatową, a nawet parafialną szkółkę ludową, wyznania prawosławnego. Oddział taki utrzymuje się z funduszów miejscowych; nauczyciela opłacać może dyrekcya (8—10 rb. za miesiąc zajęć). Jeśli wieś nie ma lokalu stałego, to szkółka taka może być przenoszona z chaty do chaty.

— Ministeryum oświaty — jak donosi *Warsz. Dniew.* — wystosowało zapytania do innych ministeryów, pod których zarządem znajdują się wyższe specyalne zakłady naukowe, jak również kuratorów okręgów naukowych, o ile byłoby pożytecznem przyjmowanie kandydatów do zakładów tych, zamiast na podstawie egzaminów, na mocy przedstawionych świadectw z ukończenia średnich zakładów. Ministeryum usprawiedliwia to okolicznością, że egzaminy nie zawsze dają prawdziwe pojęcie o zdolnościach kandydata i wnoszą do instytucyi element wypadkowy, nie zawsze pożądany, gdy tymczasem patenty dają obraz długoletniej pracy i zdolności kandydata. W celu ostatecznego zdecydowania tej sprawy w łonie ministeryum oświaty organizuje się specyalna komisya, z udziałem przedstawicieli innych ministeryów.

— Ministeryum oświaty zezwoliło wszystkim szkołom miejskim, prócz jedno i dwuklasowych, dopuszczać do egzaminu osoby postronne równocześnie z uczniami szkoły, otrzymane jednak przez nie świadectwa o zadawalającem zdaniu egzaminów nie dają im prawa do żadnych ulg w odbywaniu służby wojskowej.

— Rada uniwersytetu warszawskiego stara się o pozwolenie otwarcia katedry meteorologii na wydziale fizyczno-matematycznym.

— W Anglii w r. 1873 powstała pierwsza tak zwana „Narodowa szkoła kucharstwa"; dziś takich szkół istnieje 5,109, a w nich uczenic 263,683. Belgia ma 275 szkół i klas gospodarskich specyalnych, których utrzymanie roczne kosztuje 400,000 franków. W Szwecyi nauka gospodarstwa prowadzona jest we wszystkich zakładach naukowych w stolicy i na prowincyi. W Stanach Zjednoczonych 150 miast przyjęło naukę gotowania i szycia jako obowiązującą w programie szkolnym.

— W Szwajcaryi w r. 1888 założono „Stowarzyszenie publicznej użyteczności kobiet" (Societe d'utilite publique des femmes) w celu kształcenia gospodyń i poprawy ich bytu; 4,000 kobiet, podzielonych na 50 sekcyj, pracuje nad rozpowszechnieniem nauki gospodarstwa.

Z sądu Petersburska Izba sądowa z udziałem przedstawicieli stanów d. 10 kwietnia osądziła sprawę syna radcy tytularnego, Mikołaja Konstantynowicza Łagowskiego, oskarżonego o rozmyślne usiłowanie zabicia Oberprokuratora Świątobliwego Synodu i wydała wyrok skazujący podsądnego na pozbawienie wszystkich praw stanu i zesłanie do rot aresztanckich na 6 lat.

Komunikacye. Dzienniki wiedeńskie donoszą, że Polak, Edward Piórecki, wynalazł telefon piszący. Próby dokonane przez specyalistów okazały się podobno zupełnie praktycznemi.

— Pomiędzy Acitibes a Calri na Korsyce urządzono próbę telegrafu bez drutu. Próba na przestrzeni 200 kilometrów przez morze dała rezultat pomyślny.

Opłata stemplowa Główny zarząd do spraw prasowych za pomocą okólnika z d. 28 marca r. b. wyjaśnia, że składane do ocenzurowania rękopisy lub książki poprzednich wydań, jak również bilety na prawo składania do cenzury utworów literackich w odbitkach korektorskich, napisy zezwalające na druk rękopisów oraz wystawienie utworów scenicznych, według nowej opłaty stemplowej ulegają opłacie 60 kop.

Zdrowie publiczne. W Szwajcaryi wśród pasterzy z okolic jeziora Genewskiego, dr. Gerlier odkrył nową chorobę, którą nazwał „zawrotem paraliżującym" (*Le vertige paralisant*). Dojący krowę parobczak (funkcyę tę spełniają tam mężczyźni) dostaje nagle zawrotu, połączonego z utratą przytomności. Głowa opada naprzód, oczy stają słupem, twarz pokrywa wyraz ogłupienia i bezmyślności. Chory zatacza się jak pijany, a po kilku minutach, powróciwszy do stanu normalnego, nie wie nic, co się z nim działo. Dr. Gerlier przypuszcza istnienie jakiegoś pasorzytu lub zarazka, rozwijającego się w nawozach czy podściółkach niedość czysto utrzymywanych obór i stajen. Zwierzęta, a szczególnie koty, zamykane w oborach, podlegają takim samym zaburzeniom.

Stypendyum. Cecil Rhodes, głośny twórca Rodezyi, ofiarował zarządowi głównego kolegium w stolicy kraju Przylądkowego znaczną sumę jako stypendyum dla ucznia chcącego kończyć nauki w uniwersytecie oksfordzkim. Kwota stypendyalna ma wynosić 750 funt. st., wypłacanych w trzech ratach przez trzy lata. Wybór kandydata ma zależeć od następujących warunków: 1) od stopnia ogólnego wykształcenia, stwierdzonego w egzaminie konkursowym; 2) od zamiłowania do męskich sportów i zabaw na otwartem powietrzu i od odniesionych zwycięztw atletycznych; 3) od przymiotów męskich, więc: „prawdomówstwa, moralnej i fizycznej odwagi, wierności względem obowiązku, współczucia ze słabszymi i gotowości spieszenia im z pomocą i obroną, od chętnej usłużności, bezinteresowności i lojalności w pożyciu z kolegami," wreszcie 4) od złożonych w okresie szkolnym dowodów moralnej tęgości charakteru, instynktu przodowania i pomagania innym, bo „te właśnie przymioty sprawią, iż w późniejszem życiu będzie kandydat upatrywał cel najwyższej ambicyi swej w spełnianiu obowiązków publicznych." Wyjąwszy Kafrów, Hotentotów i innych tubylców, kandydatami do stypendyum mogą być zarówno synowie rodzin brytańskich i boerskich, osiedlonych na Przylądku.

Przemysł. Na gruntach kopalń soli w Inowrocławiu odkryto wielkie pokłady potasu na głębokości 90 metrów, skutkiem czego akcye kopalń podskoczyły z 80 na 140%.

Zmarli. Wacław Brozik słynny malarz czeski.

— Maks Ring powieściopisarz niemiecki.

— Dr. Bernard Goldman, poseł w sejmie galicyj-

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu F. S. w P. Pisze się Jarnś.

Wyszedł z druku:

Poradnik dla samouków

CZĘŚĆ: I. Wydanie drugie, przerobione i uzupełnione.

Treść: Przedmowa. O podziale i układzie nauk, *opracował* A. Mahrburg. Matematyka, *opr.* S. Dickstein. Wstęp do nauk przyrodniczych, *opr.* S. Kramsztyk. Fizyka i mechanika, *opr.* W. Biernacki i Wł. Natanson. Chemia, *opr.* L. Marchlewski. Astronomia i meteorologia, *opr.* S. Kramsztyk. Mineralogia i Geologia, *opr.* J. Morozewicz. Wskazówki do zbierania krajowych kolekcyj mineralogicznych, petrograficznych i gieologicznych, *opr.* Jan Lewiński. Geografia, *opr.* And. Świętochowski. Botanika, *opr.* E. Strumf. Zoologia, *opr.* J. Eismond. Biologia ogólna, *opr.* J. Nusbaum. Anatomia, *opr.* W. Świątecki. Filozofia, *opr.* A. Kuczyński. Anatomia i fizyologia układu nerwowego, *opr.* E. Flatau. Psychologia, *opr.* A. Mahrburg. Antropologia, *opr.* L. Krzywicki. Historya medycyny, *opr.* Wł. Biegański i J. Peszke. Higiena, *opr.* O. Bujwid i N. Kostanecki. Dopełnienia bibliograficzne. Skorowidz. Pytania czytelników i odpowiedzi redakcyi.

Warszawa, 1901 Str. 728+XLII.

Cena 1 rub., z przesyłką pocztową w opasce rekomend. 1 r. 50 kop.

— Prezes Towarzystwa Zach Szt. Pięknych w Królestwie Polskiem podaje do wiadomości, że doroczne Ogólne Zebranie członków odbędzie się w dniu 22 Kwietnia r. b. o godzinie 7 wieczorem w lokalu Towarzystwa przy ulicy Królewskiej Nr. 17A, dla wysłuchania sprawozdania Komitetu i Delegacyi Rachunkowej, rozpatrzenia wniosków w przedmiocie zabezpieczenia sumy r. 30,000 na rzecz Banku Handlowego na hypotece domu Nr. 1072, oraz dopełnienia wyboru członków Komitetu i Delegacyi na r. 1901.

Wstęp na Ogólne Zebranie mają wszyscy członkowie Towarzystwa, prawo zaś głosowania tylko członkowie rzeczywiści członkowie nieobecni nie mogą ustępować swojego głosu.

Członkowie rzeczywiści i zwyczajni przy wejściu na Zebranie winni okazać dowód opłaconej składki za rok bieżący.

Do nabycia w Administracyi Prawdy książka prof. Jerzego Jellinka

Prawo mniejszości,

przekład **S. Posnera,** *z przedmową* **A. Świętochowskiego.**

Cena 20 kop. z przesyłką 30 kop.

Administracya *Prawdy* otrzymała na skład 200 egz. książki

W. Sieroszewskiego

12 lat
w kraju Jakutów.

Cena 3 rb.

(Nakładem drukarni Fr. Karpińskiego. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka).

Pragnący nabyć tę książkę abonenci zamiejscowi *Prawdy*, prenumerujący bezpośrednio w naszej administracyi, kosztów przesyłki pocztowej nie ponoszą.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою Варшава, 6 Апрѣля 1901 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.